№ 31. Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1875 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

O znaczeniu i granicach zabawy w życiu kobiety.

List otwarty do....

PRZEZ JANA PRUSINOWSKIEGO.

Matka twoja, na przypisku do listu ojca twojego przesyłając mi pozdrowienie, dodała: — nie wiem, skarżąc się, czy chwaląc, że „podczas ostatniego karnawału, nie tylko nie tańczyłaś ani razu, ale nie chciałaś być na żadnej zabawie w sąsiedztwie, i cały czas przesiedziałaś nad książką!“

Zdziwisz się może i nazwiesz mnie starym gderą, że zamiast pochwalić występuję do ciebie z ostrą repremendą.

Słysząc ciągłe upomnienia moje, o potrzebie kształcenia się, o konieczności pracy i unikania niepotrzebnych wydatków, zapytasz zapewne: dla czego mam ci za złe, że zamiast stracenia dni kilku na *bezcelową* rozrywkę, zostałaś w domu nad książką oszczędzając zarazem grosz rodzicielski od wydatku, na jakie naraża zwykle wystąpienia młodej panienki, choćby na najskromniejszych tańcujących wieczorkach?

Myśląc tak, nie pojmowałabyś wcale, mego poglądu na życie i na obowiązki, względem siebie i drugich. Praca za młodu, nad ukształceniem własnem, a potem praca w obranym zawodzie społecznym, nie tylko nie wyłączają rozrywek odpowiednich do wieku i stanu, ale przeciwnie, wymagają ich jako nieodbitego warunku, dla odpoczynku ciała i umysłu—i dla nabrania sił nowych. W obec religijnego przepisu, święcenia niedzieli a u niektórych narodów piątku lub soboty, wiemy nadto, że wszystkie prawodawstwa, ustanowiły pewne ferye w sądownictwie i w innych pracach publicznych. Wszędzie zaś zakłady naukowe, mają krótsze lub dłuższe wakacye, zarządzane w celach hygienicznych. Nie mniej uczeni ekonomiści, nawołują ciągle o konieczności odpoczynku przy pracach fabrycznych; — a sama natura urządziła przerwy w zajęciach gospodarstwa rolnego. Ciągłe ślęczenie nad książką, nuży umysł, pozbawia go energji i polotu: mamy tego dowód, na proletaryacie literackim, skazanym na syzyfową pracę, przy zapełnianiu łamów dziennikarskich. Podobnie, praca fizyczna nad miarę, staje się powodem straszliwych chorób i skraca życie. Smutne te przykłady dobrowolnego na pozór męczeństwa, jeżeli są wynikiem surowej konieczności, usprawiedliwiają nieszczęśliwych ofiarników i i zdradzają wadliwy ustrój społeczny.

Lecz forsowne nadużywanie pracy i unikanie niedostępnych wedle środków rozrywek, *z zasady*—daje podejrzewać o zbyteczną chciwość, o skąpstwo albo niewłaściwą pychę. Wiem aż nadto, że w poczciwem serduszku twojem, żadna z tych trzech brzydkich namiętności nie znalazła miejsca. Lękam się raczej, żebyś przez wygórowaną chęć dojścia do doskonałości, nie popadła w przesadę, która przechodząc następnie w nałóg, mogłaby zwichnąć kierunek twoich pojęć i zepchnąć na mylną drogę.

Nieznośną jest młodzież płci obojej, pokazująca na ludzi dojrzałych i sęsatów. Chłopcy w tym wypadku, nie nabywając uprzejmości i ogłady towarzyskiej, przybierają natomiast pozór gburowatości i dzikości zwierzęcej. Mniejsza schludność i oprzątność, staje się cechą charakterystyczną ich postaci i ubrania. Razem z zewnętrznemi formami, ulegają zwichnięciu i skażeniu swych pojęć, wyobrażeń i dążności. Szorstkość i nieruchomość opanowuje ich umysł, unikając zaś towarzystw dobranych, w których trzeba się mieć na wodzy, przywykają pospolicie do pokątnych kółek, i wcale niefortunne pole otwierając dla swego entuzyazmu przygotowują sobie smutną przyszłość. Wyjątkowo wolni od narowów złego towarzystwa, zostają odosobnionymi dziwakami, ze szkodą własną i społeczeństwa.

Panienka, zamykająca się przed ludźmi, potępiająca pozwolone rozrywki swoich rówiennic, na inne zwykle trafia koleje. Częstokroć, przesadzona *pruderya*, jest tylko przybraną maską, po za którą kryją się wcale nie estetyczne instynkta: albo nieobycie się ze światem robi ją ofiarą pierwszego lepszego oszusta. Bez tych nawet gorszących ostateczności, staje się nieznośną i wstrętną. Nauka, lub skarykaturowane pojęcie o moralności, nie znajdują w niej należytego zastosowania. Ciągłe przezieranie i cenzura czynności innych, wyradzają w niej nieznacznie niechęć, zawiść, obmowę i płotkarstwo. Smutno, że podobne indywidua, szczególniej z podstarzeniem się narzucają na siebie tandetny płaszczyk bigoteryi, która nie tylko nie jest religijnością, ale jest zgubnem przeczeniem religii.

Czyliż byś chciała dojść do jednej z wykazanych tu pozycyi?... Zapewne że nie — i z pewnością, ani ci na myśl przyszło, żeby najniewinijesze postanowienia, z jakiemi uchylałaś się od zwykłych rozrywek podczas minionych zapust, mogły cię doprowadzić na jedną z błędnych ścieżek. Tak by jednakże być mogło, gdybyś idąc dalej za fałszywym poglądem, zepsuła w sobie konieczną harmonię pojęć i nadwerężyła równowagę, w jakiej powinna zostawać nasza jednostka względem towarzyskiego kółka, do którego dotykamy najbliżéj i do całego społeczeństwa.

Wieszcz nasz pięknie wypowiedział tę wielką prawdę głosząc, że:

„Nektar żywota,
Wtenczas jest słodki, gdy z innemi w dziele —
Serca niebiańskie, nie poi wesele
Kiedy je razem nie wiąże nić złota!

Myśl przewodnia tej łączności i wspólności bratniej, mających związać w jedne kółko ludzi jednakich pojęć i celów, przebijała się od wieków w instytucyach przeróżnych stowarzyszeń, religijnych, naukowych, rzemieślniczych i t. p. Pomijając wyjątkową i krótko trwałą ideę *Pustelnictwa*, wynikłą z podniosłej eg-

zaltacyi religijnej, najsurowsze reguły zakonne, łączyły się w oddzielne kongregacye. Średnio-wieczna instytucya cechów rzemieślniczych i głośnej pamięci *związek Hanzeatycki*, przejawiły od wieków myśl pewnej łączności. przy dążeniu do celów materyalnych.

Życie towarzyskie wzajemne stosunki, po za obrębem zajęć i obowiązków swego stanu lub położenia, można by nazwać także pewnego rodzaju kongregacyą lub cechem, z tą tylko różnicą że w tym razie, łączą się nie w imię wspólnej pracy, ale w imię wspólnej rozrywki i odpoczynku; i nie dla zdobycia jakowychś materyalnych korzyści, ale dla swobodnego użycia środków już gotowych. Pomimo to, życie towarzyskie należycie pojęte i przeprowadzone nie ma, jakby się na pozór zdawało *cechy ujemnej*; a przeciwnie jest *dodatnim* czynnikiem ogólnego społecznego bytu. Może nawet nie właściwie przyznaliśmy mu wyłączny charakter oddzielnego kółka, na podobieństwo stowarzyszeń religijnych, naukowych lub mających na celu zdobycze czysto materyalne... i zapytujemy czyli tych *oddzielnych kółek towarzyskich* na które rozpada się zwykle i rozpadać się musi społeczność każda, nie należałoby zamianować *ogólnemi zbiorowiskami wszystkich sił społecznych.* Każde indywiduum, na zajętem przez siebie stanowisku, jest tylko sobą, i działanie jego w mniejszej lub większej sferze, jest jednostronne, niejako egoistyczne. Dopiero pod hasłem towarzyskiego życia, różnorodne te żywioły, i w różnych kierunkach pracujące umysły łączą się w jedną całość uzupełniając się wzajemnie. Przytem, zgromadzenie pod jednym dachem, osób różnej płci i wieku tworzy pożądaną harmoniję, wynikającą ze zgodnego nastroju, najostateczniejszych sprzeczności. Klasztor, akademija, obóz, giełda lub inne zbiorowisko ludzi jednego celu, rażą jednostajnością, obce są i niedostępne dla niepoświęconych, gdy tymczasem *kółka towarzyskie*, promienieją wszystkiemi kolorami, olśniewającej tęczy ludzkiego ducha.

Nie należy jednak zapominać że jak rojenia o *równości bezwzględnej w życiu społecznem*, są mrzonką poprzestać musimy *na zasadzie równości w obliczu prawa*, tak podobnie w *życiu prywatnem*, kółka towarzyskie, muszą się tworzyć, odpowiednio do majątkowego i społecznego położenia, lub ukształcenia oddzielnych indywiduów. Równie niepodobna przypuszczać *bezwzględnej równości*, wszystkich członków składających jedno towarzyskie kółko. Niepowinno też nas dziwić, razić i upokarzać, że wiele z tych kółek przegrodzone są od siebie nieprzebytą przepaścią i nigdy nie stykają się z sobą, lub że nawet między członkami jednego towarzyskiego kółka pozostaje pewnego rodzaju stosunkowa zależność. Jedno i drugie, wynika z samej natury przeróżnych społecznych stosunków, które, bądź co bądź, nadają pewien oddzielny charakter ludziom każdego oddzielnego stanowiska, i których nieuznanie, prowadzi do zboczeń najgrubszego socyalizmu.

Nic naturalniejszego jak to że towarzystwo przeważnie zamożnych i pędzących życie bez troski o jutro, trzyma się osobno od ludzi pracy, nie mających czasu i środków na szukanie wspólnych z nimi rozrywek, że ci ostatni, tworzą znowu kółko oddzielne od zbiegowisk oddanych twardej pracy rzemieślników, wyrobników i wiejskiego ludu.

Jedynie wyższe naukowe lub artystyczne ukształcenie, bez względu na familijne stosunki i materyalne środki, uprawnia niejako do wejścia, *w tak zwane* wyższe sfery towarzyskie. Niekiedy i bez tych warunków, wprowadza w nie jakiś zbieg okoliczności lub osobiste stosunki. Lecz, czyliż w tych razach przybysz pozbawiony pewnych warunków stanowiących tło towarzystwa do którego został przyjęty, nie zostaje w pewnym rodzaju zależności. I z drugiej strony, czyliż z tego powodu ma się czuć upokorzonym? Powtarzam raz jeszcze — bynajmniej — bo stosunek ten wypłynął z natury rzeczy, a jak w życiu społecznem *w obec prawa*, tak w życiu towarzyskiem, *w obec przyzwoitości*, zostaje zabezpieczoną *równość*.

Dla czego ta powszechna norma, która powinnaby stać się podstawą towarzyskiego ładu, zwykle pomawianą jest, częstokroć nie bez słuszności — o bezład i z jednej strony stając się powodem uraz i lekceważenia, wywołuje z drugich stron zawiść i obelgi — a zgubnie oddziaływa na ład społeczny a nawet spokojność publiczną?... Oto po prostu, przez należyte zrozumienie swojego stanowiska, tak przez stojących u góry, jak i u dołu drabiny społecznej.

Wiem, że trąciłem o kwestyę drażliwą — że posądzonym być mogę, o chęć upowszechnienia zacofanych zasad, podziałów ludzi na kasty. Sądzę jednak że każdy, kto głębiej wpatrzy się w traktowany przedmiot, nie odmówi mi słuszności. Wiek, płeć, stopień ukształcenia, stanowisko społeczne i rodzaj zajęcia, nie tylko w życiu publicznem ale w towarzyskiem i domowem, muszą układać ludzi w pewne oddzielne grupy i ustanawiać pewne rodzaje zależności.

Potrzeba tylko, żeby wszystkie te oddzielne kółka towarzyskie, zachowały wzajemny dla siebie szacunek i wyrozumiałość. Potrzeba tylko, żeby jednostka, ze sfer *uważanych za wyższe*, gdy przypadkowo wkroczy w sfery *uznawane za niższe* — umiała zachować fakt właściwy i godnością swego obejścia dowiodła, że pojmuje stanowisko jakie dziedziczy. Potrzeba nakoniec, żeby jednostka *ze sfery uznanej lub nieuznającej się za niższą*—nie garnęła się forsownie *w sfery uważanej czy uważającej się za wyższe*, a jeżeli przypadkowo w nie wkroczy, żeby umiała także zachować godność osobistą i godność swego stanowiska, przez należyte obejście się i brak niewłaściwych wymagań. Znalazłszy tym sposobem *modus vivendi*, wszystkie oddzielne kółka, mogą mieścić się obok siebie swobodnie, bez niechętnych dla siebie usposobień, bez wzajemnej poniewierki i zawiści.

Koniecznem jest tylko, żeby każde oddzielne kółko, strzegło w wewnętrznem swojem urządzeniu, właściwych sobie granic. Czyli mówiąc wyraźniej i po prostu, żeby nie przesadzało się na niewłaściwy sobie przepych — i nie wyniszczało się na rozrywki. Uwaga ta równie jest nieodbitą dla najbogatszych, jak też i dla najmniej zamożnych. Z przykrością jednak zaznaczyć się daje, że w czasie obecnym, jak nigdy może, sadzenie się na przepych, stało się maniją powszechną. Na wszystkich szczeblach społecznych, życie towarzyskie urządza się nad stan i środki. Warunki hygieniczne, potrzeba gruntownego wyższego ukształcenia, konieczność zabezpieczenia dobrobytu na przyszłość, dla siebie i swoich, wszystko to lekkomyślnie przynoszone bywa na ofiarę, dla nadania możebnego luksu towarzyskiemu życiu. Zwrot ten, naraża na zupełne chybienie celu, i zamiast zabawy, rozrywki, swobodnego odpoczynku i pozwolonego użycia zbywających środków, drogim kosztem zdobywa się sztywna nuda, zamiast nabrania sił nowych ulega się znużeniu — i po błyszczącej i kwiatami niby usłanej drodze, zbliża się własną i bliskich sobie ruinę materyalną a częstokroć moralną. Patrząc na tego rodzaju występy, zarazem śmiech i litość bierze. Jest to powolne zażywanie trucizny, jest to siejba drogocennego ziarna, czasu i środków, na wydmy piaszczyste, które żadnego nie wydadzą plonu.

Nie potrzebuję dodawać, że szczerość i swoboda, są niemniej główmemi warunkami życia towarzyskiego; a gdy zebrania nasze będą zastosowane do środków, a zarazem kierowane przyzwoitością i ożywione ukształceniem, staną się niezbędną składową częścią, społecznego bytu.

Z tych ogólników, z tych oderwanych myśli, słabo związanych przewodnią ideą, wyrób sobie sama pojęcie o znaczeniu i granicach zabawy, która, o ile jest konieczną, o tyle nie powinna nietylko pochłaniać, ale nawet jakkolwiek nadwerężać środków materyalnych, przeznaczonych na cele stałe w życiu społecznem i domowem, a zarazem, niepowinna zabierać nam czasu ze szkodą sił umysłu i ciała, które tylko na uczciwej pracy, dla celów domowych i społecznych, używać i zużywać mamy prawo.

Jan Prusinowski.

Z PIEŚNI LUDOWYCH.

Świeci księżyc, jasno świeci
Ale chmurka mała,
Po niebiosach szybko leci
Jak potok wezbrała.
I księżyca jasne lica,
Żałobnie zaćmiła,
Chmurko! ty złośliwa chmurko!
Na coś tak zrobiła?...

* * *

Nad strumykiem, niezabudki
Kwitły jak gwiazdeczki,
Aż trącone brzegiem łódki
Straciły listeczki,
Zwiędłe główki poschylały
Aż je woda skryła,
Łódko! ty niedobra łódko!
Tyś kwiaty zabiła!...

* * *

Śpiewał ptaszek na krzewinie
I cieszył się wiośnie,
Luba jego tam, w gęstwinie,
Słuchała radośnie.
Wbiegła dziatwa, klaszcząc w dłonie
Krzewy otoczyła,
Dziatwo! ah! swawolna dziatwo!
Czemuś go spłoszyła?...

* * *

Marzy dziewczę; wstęgą krasną
Przed niem życie miga,
Myślą czystą, duszą jasną
Cele marzeń ściga.
Dola twarda ciężką dłonią
Szczęścia jej wzbroniła,
Oj! żałobna, straszna dolo!
Czemuś się pastwiła?...

* * *

Czemu też to na tym świecie
Tyle żalu, smutku?
Cierpi człowiek, ptaszę, kwiecię,
A wszystko bez skutku.
Czy kto żyje krótko, długo,
Zawsze złego dożył,
O mój Boże! wielki Boże!
Na coś Ty świat stworzył?...

Marya Szeliga.

Ze Szkiców życia żołnierskiego,

EDMUNDA DE AMICIS.

(Przekład z oryginału włoskiego.)

Carmela.

(Ciąg dalszy).

V.

Lekarz wkrótce powrócił do kawiarni, i tam przez czas jakiś rozmawiał jeszcze z porucznikiem o tym samym przedmiocie. Gdy się rozchodzili oficer znowu zawołał: Co za szkoda że taka śliczna dziewczyna jest waryatką!

— To prawda, i jaka by to w niej była dusza wzniosła i szlachetna, żeby nie to nieszczęście! dodał lekarz. Późna już noc była — na placu nikt się nie znajdował. Dom w którym mieszkał porucznik znajdował się po przeciwnej stronie, naprzeciw kawiarni. Począł iść ku niemu zwolna, i jakby niechętnie.

— Zastanę ją tam zapewne, myślał, i wzrok wytężał, szukając ażali kogo nie dostrzeże przededrzwiami, ale daremny był jego wysiłek, ciemność zupełna zalegała w około. Szedł dalej, coraz się jednak bardziej ociągając, wypatrując w około siebie, nasłuchując.... Gdybym wiedział że tam na mnie czeka rozbójnik, z nożem w ręku, byłbym chyba śmielszy i pewniejszy siebie, myślał w duchu, i wziąwszy na odwagę, postąpił o jakie kilka kroków naprzód, w sposób bardziej stanowczy. Ach! otóż i ona! Odkrył ją wreszcie; siedziała na schodkach przed wejściem domu; ale nie mógł rozpoznać jej twarzy wśród ciemności.

— Cóż tu robisz? — zapytał, zbliżając się do niej. Nic nie odpowiedziała w pierwszej chwili potem wstała, stanęła tuż przed nim i kładąc mu obie ręce na ramionach, rzekła, głosem tak słodkim i pełnym wyrazu, jak gdyby zupełnie była przytomną:

— Czekałam na ciebie.... drzemałam.

— Dla czegoż na mnie czekałaś?—spytał jej znowu oficer, zdejmując z ramion jej ręce, któremi oplotła zaraz jego rękę.

— Bo chcę zostać z tobą — odrzekła.

— Co za dziwne brzmienie w tym głosie! — pomyślał. Przysiądz by można, że to mówi na prawdę.

Dobył z kieszeni zapałkę i zapaliwszy ją, zbliżył do twarzy Carmeli, żeby módz w oczy jej zajrzeć. Wyrażała ona zmęczenie skutkiem całodziennego wałęsania się bez wytchnienia; a może też po śnie chwilowym z którego tylko co się zbudziła, twarz jej nie odzyskała jeszcze zwykłej sobie, chorobliwej ruchliwości, i rozlane było na niej jakieś posępne znużenie, nadające jej urok niewysławiony i nic w niej zgoła nie przypominało obłędu którego była pastwą.

— O! drogi mój! najdroższy! — zawołała skoro tylko dostrzegła oświetloną światłem zapałki twarz porucznika wyciągając ku niej dłonie. On ją szybkim ruchem odsunął, wtedy pochwyciła jego rękę i przycisnęła silnie do niej usta. Oficer szybko dopadł drzwi i wbiegłszy do sieni, zamknął się na klucz.

— Mój ty skarbie jedyny! — zawołała raz jeszcze za nim Carmela. Potem, nie mówiąc już nic więcej usiadła znowu na schodkach z rękami założonemi na kolanach i z głową w jedną stronę przechyloną. Wkrótce potem usnęła.

Skoro tylko porucznik znalazł się w swoim pokoju, zapalił świecę i począł oglądać swoją rękę. Znalazł lekki ślad dwóch małych ząbków, na skórze mocniej w tem miejscu zaczerwienionej.

— Cóż to znowu za rodzaj miłości? — zapytał na głos sam siebie.

Potem zapaliwszy cygaro, chodzić począł po pokoju, obmyślając przyszły rozkaz dzienny, dla swego małego oddziału. Ułożę go jutro, rzekł wreszcie, i począł myśleć o czem innem. Usiadł, otworzył książkę; przeczytał z niej parę stronnic, potem znowu począł się przechadzać, następnie raz jeszcze zabrał się do czytania, ale wszystko nie szło mu jakoś i w ostatku spać się położył.

Następnego dnia, ordynans wchodząc według zwyczaju, wczesnym porankiem do jego pokoju, zdziwił się mocno nie znajdując go śpiącym, zwykle bowiem, budzić go było potrzeba.

— Jest tu na dole, przy drzwiach — rzekł ta waryatka...

— Cóż ona tam robi?

— Nic, powiada że czeka na pana porucznika.

Oficer chciał roześmiać się, ale mu się to jakoś nie udało: potem, spoglądając na żołnierza czyszczącego mu odzienie, szepnął sobie w myśli:

— Co się on tak dzisiaj śpieszy jakby go kto pędził w robocie?

Ubrawszy się rzekł do niego.

— Zobacz no, czy ona jest tam jeszcze ta biedaczka?

Żołnierz otworzył okno i wyjrzawszy, powiedział że dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

— Cóż tedy robi?

— Bawi się kamykami.

— A czy patrzy w górę?

— Nie.

— Czy siedzi przed samemi drzwiami?

— Nie, trochę z boku.

— Chwała Bogu, więc potrafię jej się wymknąć.

To rzekłszy począł zbiegać śpiesznie ze schodów, ale go zdradził szczęk pałasza.

— Dzień dobry, dzień dobry!—zawołała dziewczyna, biegnąc naprzeciw niemu na schody, a gdy tuż blisko była uklękła i chustką poczęła starannie obcierać mu buty, z wielkim pośpiechem i szeptając:

— Czekaj no, poczekaj jeszcze chwilkę, bądź cierpliwy... teraz już dobrze, wyśmienicie....

— Carmelo, puść mnie! — zawołał ostro oficer, usiłując daremnie uwolnić swą nogę od drobnej rączki która ją silnie trzymała; — puść że mnie nareszcie!

Zaledwie się uczuł wolny śpiesznie się oddalił.

— Czy też nie ma żadnego sposobu uporządkowania tej biednej głowy? — pytał w krótce potem Lekarza.

— Ha!—odpowiedział tamten—kto to wie? Może—kiedyś—z czasem—z cierpliwością...

VI.

Po upływie miesiąca, serdeczna przyjaźń łączyła porucznika z lekarzem. Jednostajne usposobienie i wiek jednakowy, a bardziej może wspólny pobyt w kraju całkiem obcym, gdzie nie mając żadnych stosunków z sobą tylko musieli przestawać—wszystko to razem wzięte sprawiło, iż wystarczyło tak krótkiego czasu aby ci dwaj ludzie uważali się na wzajem za starych przyjaciół. Wszelako w ciągu tego miesiąca, porucznik zmienił swe nawyknienia w dziwny zaprawdę sposób. W pierwszych dniach po swojem przybyciu na wyspę, sprowadził sobie z Neapolu sporą paczkę książek i przez parę tygodni nieustannie był zajęty czytaniem i robieniem wypisów, albo też długiemi rozprawami z lekarzem, które zwykle kończyły się ze strony porucznika słowami:

— Koniec końcem, zdaje mi się że w podobnych razach, sztuka wasza na niewiele się przyda.

— Zobaczymy; szukajmy środków, nie traćmy odwagi — odpowiedział doktór, i na tem się rozchodzili, a zeszedłszy się nazajutrz wracali znowu do tego samego przedmiotu.

Pewnego dnia po dosyć długiej rozmowie z burmistrzem, porucznik, poczyniwszy mu różne zapytania, kazał sobie sprowadzić jedynego miejscowego krawca potem udał się do jedynego kapelusznika istniejącego w miasteczku, i w kilka dni potem przechadzał się nad brzegiem morza, w letnim ubraniu z szarego płótna, w dużym słomianym kapeluszu i z niebieską chustką na szyi. Tego samego wieczoru, lekarz spotkawszy go, zapytał:

— Cóż tedy?

— Nic.

— Jakto ani najmniejszego znaku?...

— Nic zgoła.

— Nie zważaj na to, idź dalej, wytrwale....

— O! ma się rozumieć.

Miejscowy poborca słynął od lat wielu w miasteczku, z talentu do śpiewu, i grał do tego na różnych instrumentach. Pewnego dnia, porucznik udał się do niego z prośbą, aby go nauczył grać na gitarze. Odtąd, lekcye odbywały się co dzień, i uczeń okazał się tak pojętnym, że wkrótce mógł wtorować do śpiewu swemu nauczycielowi.

— Musisz pan mieć piękny głos?—zapytał go pewnego razu ten ostatni.

Tak też było w istocie, zaczął tedy porucznik uczyć się także śpiewu i zanim upłynęło kilka tygodni, już był w stanie śpiewać ludowe pieśni sycylijskie, z wdziękiem i z uczuciem zachwycającem.

— Mieliśmy tu kiedyś oficera, co posiadał także głos prześliczny—powiadał nieraz poborca do porucznika. Była zwłaszcza jedna piosnka, dodał pewnego dnia, którą on wiecznie śpiewał... poczekaj no pan... sprobuję ją sobie przypomnieć... ślicznie bo ją śpiewał naprawdę! Sam skomponował do niej słowa i melodyę; tak się zaczynała:

U nóg twoich Carmelo,
Chcę spędzić całe życie...

— Jakże to dalej było zapytał niespokojnie porucznik.

— Nie przypominam sobie w tej chwili, ale jestem pewny że z czasem całą tę piosnkę potrafię w pamięci mojej odszukać, zwłaszcza, jeźliś pan jej tak ciekawy.

Porucznik zapewnił swego nauczyciela, że nic go więcej nie zajmuje, jak kompozycye improwizowane przez amatorów. Po kilku dniach, już umiał na pamięć całą piosenkę.

Inną razą, po długiej rozmowie z dystrybutorem, mającym sklepik na placu, porucznik poszedł do koszar, i tam odszukawszy feldfebla, znanego jako wybornego fechmistrza, zażądał od niego aby go wydoskonalił w swej sztuce. Odtąd, co rano słychać było z placu, wielki chrzęst szabel w mieszkaniu porucznika, oraz tupanie nogami i głośne nawoływania. Odbywała się tam lekcya fechtowania.

— Już tego chociaż doświadczenia, mogłeś sobie oszczędzić — rzekł do niego, po kilku dniach lekarz — czyż znać na niej jakiekolwiek wrażenie?

— Żadnego, jak dotąd ale cóż szkodzi dalej probować? — odparł porucznik. Powiadano mi, że się tamten zwykł był fechtować codziennie, i że ona wtedy, przysłuchiwała się temu z placu, nie mogąc wejść do mieszkania...

— O czegoż tu nam więcej potrzeba, odpowiadał lekarz potrząsając głową, czegoż więcej potrzeba, mój drogi!

VII.

Już półtora miesiąca upłynęło, od przybycia nowego oddziału, gdy pewnego dnia, późnym wieczorem, porucznik siedząc z doktorem przy stoliku i poprawiając w rozgarnięciu, końcem stalowego pióra knot świecy przed nim stojącej, rzekł po chwili milczącej zadumy:

— Jakże więc sądzisz że się skończy to wszystko. Oto oszaleję tak samo jak ona, i tak się ta sprawa rozwiąże. Wstyd mi samego siebie, powiadam ci szczerze, i bywają chwile, w których zdaje mi się że słyszę, jak się wszyscy w duchu ze mnie naśmiewają.

— Z czegóż tu śmiać się? zapytał doktór.

— Z czego?... z tej mojej wielkiej gorliwości, z tego tak troskliwego współczucia dla tej nieszczęśliwej istoty, z tych prób przeróżnych... a zawsze bezowocnych.

— Troskliwość—współczucie alboż to rzeczy mogące w kimkolwiek śmiech obudzać? — rzekł lekarz ruszając ramionami. Potem, popatrzał przez chwilę w oczy porucznikowi i dodał, biorąc go za rękę. Powiedz no mi prawdę, kochasz się w Carmeli?

— Ja? cóż ci znowu przyszło do głowy? — zawołał z żywością porucznik, zaczerwieniony jak młoda dziewczyna.

— Tak, przyszło mi to do głowy; — odrzekł lekarz, i wiem że się nie mylę. Bądź że szczerym ze mną, powiedz mi całą prawdę, czyż nie jestem tu twoim jedynym przyjacielem?

— Ależ właśnie dla tego że wierzę w twoją przyjaźń, nie powiem ci tego, o czem sam nie jestem przekonany.... Nie, zastanów się sam, to rzecz niepodobna...

Zamilkł, jakby potrzebując chwili dla zbadania samego siebie; twarz jego, raz bladła, raz znowu ognistym powlekała się rumieńcem; wreszcie począł mówić, szybko, gorączkowo, zacinając się, jak dzieciak schwytany na uczynku i nie chcący się przyznać do popełnionej psoty.

— Ja? miałbym się kochać w Carmeli? w obłąkanej? Przywidziało ci się to, mój kochany. Zkąd ci się mogła w głowie wylęgnąć myśl podobna? Gdyby się to stało kiedykolwiek, upoważniam cię do zdania pułkownikowi raportu, że mi się w głowie poplątało, i że wypada mię zamknąć do czubków. Ja? zakochany!... śmiech mię bierze, na to przypuszczenie. Lituję się nad tą biedną dziewczyną, przyznaję to: mam dla niej żywe i głębokie współczucie; nie wiem czego bym nie dał za to, aby jej wróciła przytomność; każda ofiara byłaby mi łatwą, cieszyłbym się jej uzdrowieniem, jakby mi była najbliższą osobą w rodzinie... Ale od tego wszystkiego, daleko jeszcze do zakochania? I cóż w tem zresztą dziwnego, że mię ona tak obchodzi? Wiem że jest uczciwa, że pierwszego i jedynego kochanka swego kochała miłością zacnej kobiety, wierząc że ma zostać jego żoną i szanując siebie chociaż nie miała nad sobą opieki. Cnota więc to niezwykła, przyjacielu, i nie dziw że jej cześć oddaję i że żal mi całą duszą, że ta biedaczka lepszego nie doznaje losu. Z resztą, czyż sam rodzaj jej obłąkania nie zdradza duszy szlachetnej kochającej i czy nie pociąga ku niej koniecznie? Z ust jej, same tylko łagodne i skromne słyszałem wyrazy, a jeśli mię czasem ręką dotknie, z uczuciem miłości, lub do nóg upadnie, czyny to są istoty obłąkanej, ale nic w nich nie ma takiego, coby można nazwać bezwstydnem, lub nieprzyzwoitem. Otóż z tego właśnie powodu, tak ją polubiłem... Cóż bo to za nieszczęśliwe stworzenie! Sama jedna, opuszczona od wszystkich, wiodąca nędzny żywot psa, wałęsającego się bez pana... Powiedz czyż ciebie ona także nie obchodzi? Mówię ci szczerze, całą duszą jej jestem życzliwy, oto i wszystko... A do tego, jaka ona piękna!... to już każdy przyzna... spójrz na te oczy, usta, na całą jej postać... a czyś kiedy uważał jej ręce, albo te powichrzone włosy?... Jakie one pomimo tego prześliczne... czyś gdzie widział kiedy podobne?

Słuchając go. lekarz chodził zamyślony po pokoju.

— Prawda, że bardzo jest piękna—rzekł półgłosem z westchnieniem.

— To i cóż z tego że piękna? podchwycił porucznik, tylko na tyle jej się to przyda, że tem więcej litości u każdego obudza. Nieraz, patrząc na nią, powiadam sobie: Żeby ta dziewczyna była przy zdrowych zmysłach, wszystkim by głowy pozawracała... i co prawda, są także chwile że wygląda zupełnie jak gdyby była przytomna... kiedy ci naprzykład powiada z uśmiechem: — mój najdroższy — lub też gdy o zmroku, nie widząc jej twarzy, słyszysz jak ci szepcze: że na ciebie czekała, żeś ty jej skarbem, aniołem jedynym!.. O wtedy, nie przeczę temu, od słodkiego brzmienia tego głosu, w którym drży tyle uczucia, serce moje uderzało nieraz gwałtownie... tak gwałtownie, jak gdybym na prawdę kochał tę dziewczynę, I probowałem wołać ją po imieniu.. wyobrażając sobie koniecznie, że mi odpowie przytomnie i że ją znagła ujrzę całkiem uleczoną... Carmelo powiadam do niej, wszak nie jesteś obłąkana? Patrzy wtedy na mnie przez chwilę, z wyrazem zdumienia, już bym przysiągł że mnie zrozumiała... w tem, zaczyna śmiać się na całe gardło, tym swoim śmiechem, a to dreszczem przeszywa... ach, mój drogi, jam żołnierz przecię i nie jedno w życiu przebyłem, a powiadam ci, wtedy rozbiłbym sobie z chęcią głowę o ścianę. Wiesz ile uczyniłem dla przywrócenia jej zmysłów, ale nie wiesz jeszcze wszystkiego. Co wieczór prawie mówiłem do niej całemi godzinami, grałem dla niej na gitarze i śpiewałem piosnki które śpiewał jej kochanek, probowałem mówić że ją kocham, przytulałem ją do siebie... ale wówczas naprawdę, doznawałem takiego wrażenia jak gdybym trupa całował. Jednem słowem, przyjacieln, zniosłem wszelkie możliwe katusze z powodu tej dziewczyny, a wszystko nadaremnie. Im większa mnie ogarniała rozpacz, tem mię silniej i uporczywiej paliła w głębi serca owa gorączka przeklęta.... W nocy spać nie mogę, bo wiem że ona tam siedzi skulona przede drzwiami, i ciągle ścigany tą myślą, nasłuchuję ażali nie usłyszę lada chwila kołatanie do okna i nie ujrzę wpatrzone we mnie te oczy bez wejrzenia czarno odbijające na tej bladej twarzy. Nieraz zdaje mi się, że kroki jakieś biegną po schodach, lub też że wśród nocnej ciszy śmiech dziki na placu się rozlega... Ach! śmiech ten ściska mi serce, niby lodowata ręka, krew we mnie ścina, i nie mam odwagi wstać i wyjrzeć przez okno. Zabieram się do pisania, do czytania — wszędzie mię myśl o niej ściga, wszędzie smutek jakiś, obawa, niepokój — i sam sobie sprawy z tego wszystkiego zdać nie umiem. A gdy siebie zapytam na czem się to skończy, jakie ślady ten dziwny ustęp mego życia we mnie pozostawi, nie śmiem dać sobie na to odpowiedzi, lękam się ją usłyszeć i rwę sobie włosy... jak szaleniec... O powiedz ty mi bracie, że nie utracę zmysłów jak ona, powiedz mi to, bo czuję że serce mi pęka z boleści....

Lekarz zbliżył się bardziej z krzesłem do niego i nadto wzruszony, by mógł w tej chwili przemówić, położył mu obie ręce na ramionach, popatrzał mu w oczy, a potem go uściskał z żywem uczuciem.

W tem znagła, porucznik, oswobodził się z objęć przyjaciela i podnosząc twarz od łez wilgotną, utkwił w nim wzrok, w którym jaśniał przedmiot uśmiechu.

— Cóż tedy? — zapytał lekarz z radośnem zaciekawieniem.

— A gdyby też wyzdrowiała? — zawołał młodzieniec, na chwilę rozpogodzony, gdyby się stała znowu taką, jaką kiedyś była, ze spokojem w sercu i w umyśle, gdyby te oczy utraciły ów blask dziwny i ową przerażającą nieruchomość, usta zaś śmiać się przestały tym okropnym śmiechem — gdyby mi powiedziała: Dziękuję ci, mój najdroższy, boś mi życie przywrócił... kocham cię... — i gdyby zapłakała! O Boże! widzieć ją płaczącą, słyszeć rozsądnie rozmawiającą, spotykać ją schludnie ubraną, uczesaną, jak inne dziewczęta, rumieniącą się jak one, modlącą się w kościele; śledzić w niej budzące się jak u dziecięcia, najsłodsze i najczystsze uczucia pierwszej młodości, wieczorami, nie znajdować jej więcej na tych schodkach, ale w domu matki, pracującą przy jej boku, spokojną, wesołą... I gdybym mógł sobie powiedzieć: Tyś jej zwrócił to wszystko, tyś ją oddał rodzinie, i szczęściu... o wtedy przyjacielu, zdawałoby mi się, że dwie dusze posiadam i dwoma życiami; wierzyłbym że ta istota do mnie należy, że mi jest od nieba przeznaczona i powiódł bym ją do matki mojej, jak anioła zesłanego mi od Opatrzności.... O gdyby to prawdą kiedy było...

Rozpłakał się, zakrywszy twarz rękami.

— O! mój najdroższy! — zawołał w tej chwili głos donośny na placu. Porucznik zerwał się na równe nogi, jakby dotknięty iskrą elektryczną i rzekł stanowczo do lekarza: Idź mój bracie zostaw mnie samego.

Lekarz uścisnął mu rękę i rzekł: Bądź odważny! Wyszedł z pokoju.

Porucznik pozostał w miejscu przez czas jakiś; potem podszedł ku oknu, otworzył je i cofnąwszy się nieco, przypatrywać się począł cudnemu widokowi jaki się przed nim roztaczał. Noc była cicha, jasna, zachwycająca, tuż przed oknami ulice opustoszałe; dalej przystań, wybrzeże, tak mocno oświetlane od promieni księżyca, że chodząca po niem osoba dałaby się rozróżnić z łatwością; wreszcie, dalej jeszcze morze spokojne i wygładzone, a w głębi u widnokręgu góry Sycylji, wykreślające się tak wyraźnie, jak gdyby tuż blisko były. Wszędzie cisza głęboka.

— O gdyby i we mnie mógł zapanować ów błogi spokój!— pomyślał porucznik, wodząc smętnym wzrokiem po szerokim obszarze morza. Oparł się z bijącym sercem o okno, spojrzał w dół... dziewczyna siedziała u drzwi.

— Carmelo!—zawołał.

— Kochanie moje!

— Co tu porabiasz?

— Co?... czekam; wiesz przecie o tem. Czekam żebyś wyszedł.

— Zejdę zaraz do ciebie.

Uradowana dziewczyna, skakać poczęła i w ręce klaskać.

Po chwili, drzwi się otworzyły i porucznik ukazał się na progu. Zaledwie go ujrzała Carmela, pochwyciła jego ręce i zaczęła namiętnie całować.

— Chodź, chodź ze mną, mówiła: wszak już nie odejdziesz? Tak długo czekałam na ciebie! I zarazem, pociągała go ku ławeczce, stojącej pod ścianą.

Usiadł przy niej i na nowo, z wytrwałą i namiętną cierpliwością, rozpoczął wszystkie dawniejsze próby i usiłowania, obmyślając nowe w dodatku, przemawiając do niej z miłością, z gniewem, z rozpaczą — ale wszystko to było daremne. Patrzała mu w oczy i słuchała niby z uwagą i potem gdy skończył, pytała go, śmiejąc się: Co ci takiego? — albo też mówiła:

Biedny ty! żal mi ciebie. I całowała mu ręce z wyrazem rzewnej litości.

Wszelka nadzieja coraz go bardziej odbiegała. Widział bezskuteczność swej pracy, a jednak nie chciał stracić nadziei, że siłą woli można cuda działać.

— Carmelo! ty musisz mię kochać! —zawołał, tuląc ją do siebie.

Zarzuciła mu ręce na szyję:

— O mój aniele! wyszeptała głosem tak drżącym, że znagła uwierzył, iż kochającą kobietę tuli do piersi..... Ale w tem, zerwała się szybko z miejsca, oswobodziwszy się z jego objęć, i przez chwilę stała przed nim chmurna, niby zadumana. Potem rzekła cicho: Co to jest? co to znaczy? I z uśmiechem którego dotąd nie widywał na jej twarzy, dodała: Czyś ty już moim mężem?

Stłumiony wykrzyk wybiegł z piersi młodego oficera; blady, drżący, lękając się niezręcznem słowem spłoszyć słabą iskierkę, którą dostrzegał, sam nie wiedział co ma odpowiedzieć. Carmela tymczasem podniosła oczy w górę, popatrzyła trochę w niebo; potem, zerwawszy z głowy porucznikowi czapkę wojskową, włożyła ją sobie i podskakiwać poczęła wyśpiewując i rękami machając.

— Carmelo!—zawołał z boleścią porucznik. Carmelo!—krzyczał znowu i chciał biedz za nią, ale ona strwożona, pomknęła się jak strzała, i po chwili była już daleko. Słyszał ją jeszcze czas jakiś, to śpiewającą, to zanoszącą się od śmiechu, wreszcie głos jej coraz słabszy, rozpłynął się i zatonął wśród nocnej ciszy.

(d. n.)

Maurycy Jokái.

Szkic biograficzny

przez A. Callier.

Maurus (Maurycy) Jokái urodził się 19 lutego 1825 roku w Komornie, owej niezdobytej fortecy. Ojciec jego Samuel Jokái, adwokat, i matka Marya Pulay pochodzili ze staro szlacheckich rodzin protestanckich. W tym też surowym purytanizmie kalwińskim wzrósł i wychował się Maurycy, brat jego Karol, obecnie adwokat i siostra Estera, dziś pani Bály. W dziesiątym roku życia zawieziono chłopców do Presburga i oddano do profesora Zsigmondy dla nauki języka niemieckiego; wówczas już Maurycy pisywał wiersze.

Wróciwszy do domu w dwunastym roku życia nagle został sierotą. Szczupły mająteczek, jakkolwiek uratowany przed chciwością rodziny przez Karola, nie mógł wystarczyć na utrzymanie; trzeba było pracować. Po ukończeniu gimnazyum miał zamiar Maurycy udać się do wyższych szkół peszteńskich, środków wszakże na to nie stało. W tej krytycznej dla chwili przyszedł mu w pomoc przyszły jego szwagier Bály, otwierając mu do użytku szkolną bibliotekę, w której mozolnie z łacińskich i niemieckich foliałów przysposabiał się przyszły Węgier poeta do egzaminu z filozofii aż do roku 1839; tymże sposobem o własnej sile nauczył on się greckiego, francuzkiego, włoskiego i angielskiego języka oraz—dla rozrywki własnej — rysunków. Od tej chwili przez lat trzydzieści pracował Jokái niezmiennie po szesnaście godzin dziennie z prawdziwie żelazną wytrwałością.

W wyższej szkole w Pápa, dokąd udał się w 1840 roku, znalazł się węgierski romanso-pisarz w ciekawem otoczeniu kolegów. Ławki tejże samej co on klasy zasiadali: późniejszy minister finansów Kerkápolyi, radca ministeryalny Gondol oraz posłowie Paál, Bárány i Kozma. Dwaj zaś najulubieńsi jego koledzy zajmowali miejsce w ostatniej ławie tej klasy. Jeden z nich marzył o tem, że z czasem będzie najsławniejszym Węgier autorem, drugi, że będzie uwielbianym poetą a nasz Maurycy roił dla siebie karjerę sławnego na świat cały malarza. Wszyscy trzej doszli wymarzonych celów — tylko, że dziwnem zrządzeniem losu w odmiennych kierunkach. Pierwszy został największym węgierskim poetą i jednym z największych też w literaturze wszechświata: Szandor (Aleksander) Petofi, drugi jest malarzem historycznym i cieszy się uznaniem ogółu — Samuel Orlay; Maurycy Jokái zaś został najpopularniejszym romansopisarzem Węgier a wkrótce może stanie się jednym z najpopularniejszych w świecie.

Wszyscy wymienieni tu uczniowie stanowili klub literacki, który działał pilnie i rzucał już ziarno węgierskiego piśmiennictwa; areopag tego klubu przyznał premję jednego dukata nowelli Jókái'a „Sąd boży.“

W roku 1844 znajdujemy naszego poetę w kancelaryi adwokata Molnár, dniem zajętego pisaniem replik, nocą tworzeniem coraz to nowych nowell, które padały na papier jak z rogu obfitości, dziwnie świeże pomysłami, niewyczerpane, odrębne całkiem i oryginalne. Jedną z takich nowell-fraszek, opowiedzianych z niesłychaną prostotą, przytoczymy tu dla zapoznania czytelnika z ich rodzajem.

Archeolog.

„Mój bohater był profesorem fizyki a zarazem i archeologji w jednem z najlepiej wyposażonych waszych liceów, a że uważano go nie bez zasady za skąpca nie lada, krążyła więc o nim wieść wśród biednego ludu okolicy, że obraca niezliczonemi kapitałami. Pod koniec życia rzucił profesurę i zamknął się zupełnie. Ani kazał gotować w domu, głodem zamorzył ulubionego kota, rozpędził służbę; codziennie rano w garnku bez ucha przynosił sobie sam kwaterkę mleka i dwie bułeczki żytnie; w południe zaś chodził do restauracyi po resztki pozostałe jadła. Mimo to wszystko gdy po jego śmierci spisywano pozostałą po nim spuściznę znaleziono raptem 100 reńskich, wyraźnie sto reńskich. Spadkobiercy jego w błogiej nadziei spadku, przepili już na jego conto najmniej tysiąc razy tyle!

Gdzież więc podziewał on pieniądze? O tem po dziś dzień jeszcze rozprawiają mieszkańcy miasteczka i po dziś dzień nie mogą pojąć jakim sposobem człowiek, który przez lat czterdzieści chodził wiecznie w tymże samym surducie, raz na prawą, drugi raz na lewą stronę, nie zostawił po sobie przynajmniej korca srebra? I przeszukano też całe jego łóżko, pościel, zdzierano z krzeseł i sofy obicie, podważano deski podłogi, zdrapywano ze ścian wapno — nigdzie, nigdzie i śladu skarbów! Toż samo w rozprutym kołnierzu surduta, pod podszewką kapelusza, w cholewach butów, w piwnicy, pod ogniskiem w kuchni — nigdzie, nigdzie!

Odrywano ramy starych omszałych obrazów, rozdzierano kartkę po kartce opleśniałe księgi, przepiłowywano stare ordzewiałe monety i medale—z nikąd, z nikąd pieniędzy! Chyba je zabrał na tamten świat z sobą!...

.....Poszedłem przyjrzeć się licytacyi pozostałych po nim ruchomości.

Już to wyznać muszę, żem nigdy w życiu nie widział razem nagromadzonej takiej masy połamanych łyżek, uszu od dzbanków i wszelkiego rodzaju rupiecia.

Zardzewiałe pałasze, połamane kłódki, lance, topory, rzeźnicze noże, rożny, podkowy, strzemiona, wypchane ptaki, kuny, guziki miedziane, kutasy, gniazda os, kości ludzkie i zwierzęce, skamieniałe zęby, jaszczurki o dwóch ogonach, przechowane w spirytusie, muszle ślimaków, potłuczone garnki, kamienie wszelkich kształtów i kolorów, próby różnych piasków, minerałów, lawa, kawały cegieł, foljanty, tomy oprawne w psią skórę, obrazy, mappy, wyciski pieczęci, prastare grajcary i Bóg wie co tam jeszcze z dziedziny różnorakich rupieci, w których gnieździły się pułkami pająki.

Wszystko to było w największym ułożone porządku, poustawiane rzędami, na każdym gracie przylepiono karteczkę opatrzoną numerem, pod którym należało jej szukać w katalogu; katalog ten oznajmiał czemu każda z tych rzeczy miała mieć w oczach potomności niesłychaną wagę.

I tak były tam:

Nr 1. Olbrzymi miecz, na którego klindze miał być wypisanym z jednej strony Ojcze nasz, z drugiej *Ave*. Z po za rdzy jednak zjadłby dyabła ktoby czegokolwiek dopatrzył. Mieczem tym miał walczyć Achmet-Pasza w 1442 roku w bitwie pod Białogradem. Cena zakupna dwadzieścia dukatów. Chłopiec okrętowy kupił tę rzadkość na licytacyi za 10 krajcarów jako nóż do zrzynania tytoniu.

Nr 2. Nożyczki, któremi 892 r, obcięto ogon koniowi cesarza Arnulfa, gdy nocną porą przejeżdżał przez most rzeki Enn. Cena zakupna ośmdziesiąt guldenów — sprzedano za 17 krajcarów.

Nr 3. Lanca, którą był uzbrojony rzymski tryaryusz podczas wojny kartagińskiej. Mnie się to zdawało motyką i w rzeczy samej za to też kupił ją ogrodniczek.

Nr 4. Książka do nabożeństwa Św. Wawrzyńca; gruba, pękata księga zapisana czarnemi, czerwonemi i niebieskiemi literami; mocą których wypędzało się szatany w czasach, gdy ich tak wielu jeszcze nie włuczyło się po ziemi. Nieboszczyk zakupił tę książkę wraz z oprawą i klamrą za dziewięćdziesiąt guldenów. Ale praktyczna przekupka nie chciała za nią dać i ćwierci guldena.

Nr 5. Obraz olejny, malowany przez Owidyusza Naso; bazgrota, na jaką tylko zdobyć się może poeta. Na obraz ten nie było amatora choć na odwrotnej jego stronie napisano, że kosztował dwadzieścia pięć dukatów.

Nr 6. Biały gołąb z głową czarnego kosa. Starowina przez lat dziesięć podziwiał to cudowne zjawisko przyrody, oczywiście nie dostrzegłszy w nim szwów. Dziesięć dukatów.

Nr 7. Kamień, spadły na ziemię z księżyca. Sto dukatów.

Nr 8. Pantofelek Kleopatry. Ośm dukatów.

Nr 9. Trzy kartki świętego Łukasza: niezawodne lekarstwo na czarownice.

Nr 10. Fartuch Ajeszy, kterego następnie Machomet użył za chorągiew.

Nagle jednak spostrzegłem jeden obraz i aż odskoczyłem zdumiony. Nie, ja ten obraz gdzieś widzieć musiałem.... Była to straszliwa jakaś głowa Scyta w srebrnym dołmanie; u spodu był napis: „*Attila plaga Dei.*“ Rysy tej twarzy były mi tak dobrze znajome jakbym wczoraj jeszcze rozmawiał był z ich posiadaczem. Co więcej, tak znane jakbym je sam kiedyś portretował — nie, prawdziwie, gdym się uczył malarstwa miałem zwyczaj zaopatrywania moich portretów w takież właśnie nosy na trzy części rozcięte. Któżby to mógł być co już przed trzema blisko wiekami mnie naśladował? Poszukałem w katalogu i następnie znalazłem objaśnienie:

„Nr 1915. Obraz ten dziwnie rzadkiej wartości zakupiłem szczególnym trafem za dwadzieścia ośm dukatów, jakkolwiek niezawodnie wart on dziesięć razy więcej. Należy do najznakomitszych utworów

słynnego na świat cały *maurytańskiego* malarza Ben-Ali-Hassan-*Yokai*-Machmud.“

A cóż, wszak zaraz powiedziałem, że tego nie mógł malować nikt inny jak ja;... ale któż jest owym Attylą? Ach, zkądże znów Attylą, przecież to bądź co bądź nie Attyla; toż to Baudi Beregi!

A przynajmniej Baudi Beregi był dla mnie modelem, z którego stworzyłem owe rysy, na jakich sam widok cała armja mogłaby pójść w rozsypkę.

.....Baudi był szalonym chłopcem.

Miał on szczęście być siostrzeńcem zmarłego profesora i większe nad to szczęście nadziei przyszłego po nim spadku. Ale Baudi nie chciał czekać a choćby i chciał wierzyciele nie dozwoliliby mu ćwiczyć się w tej iście chrześcijańskiej cnocie.

Starowina zaś przeciwnie nie był bynajmniej człowiekiem, któryby komukolwiek kiedykolwiek dał co z własnej a nieprzymuszonej woli; nie chorował też na niestrawność, z której dałoby się wywnioskować że z czasem przecież umrze.

Miał on jednak swą Achilesową piętę, punkt, na którym mógł być nawet rozrzutnym. Ubóstwiał wszelkie starożytności i gdyby mu kto pokazał był miecz, którym cherubin wygnał z ziemskiego raju Adama i Ewę, byłby sobie chętnie dał nim głowę odciąć byle za tę cenę go posiadał.

....To też nasz Baudi tak sobie rozumował:

„Skoro u ciebie nic nie ma wagi jak to co poszarpane i ordzewiałe, toż w straganach naszych tandeciarzy znajdzie się sporo połamanych ostróg, noży i widelcy bez trzonków, porządnie okopconych papierów, starych kociołków, dzbanków i rożnów, jakie w pradziadowskich kredensach napotyka się obficie a nad których pierwotnym użytkiem daremnie łamią sobie głowy sukcesorowie.“

Pewnej więc ciemnej nocy zabrał z zapomnianego kredensu babki wszystko, co tylko mógł unieść z tych zapleśniałych kosztowności jak np. średniowieczne żelazka do rurkowania czepków, tłuczki do moździeży, staroświeckie okrągłe dusze ze szkła, żelazka do loków, niebotyczne grzebienie, skorupy potłuczonych porcelanowych talerzy, poułamywane klucze, śruby, gwoździe, sprzączki, klamry od kołowrotków, pułapki na myszy, guziki bez uszek i t. d., i t. p. Zabrawszy te wszystkie skarby w worek zaniósł je do ruin rozpadającego się zamczyska, odległego o ćwierć mili; tu zagrzebał wszystkie te rupiecie kolejno pod kamienie, krzaki, we wszystkich końcach dziedzińca i pozostawił je przez tydzień cały w ziemi aby uległy wpływowi wilgoci. Po upływie tygodnia odwiedził pana Tadeusza.

Pan Tadeusz zwykł był każdego, co w progi jego wchodził pytać na wstępie, co za dzień jest dzisiaj; najnowszy bowiem kalendarz w jego domu datował się z czasów papieża Sykstusa II, a skoro mu odpowiedziano, że jest środa lub czwartek, dziesiąty lub dwudziesty marzec, wiedział natychmiast z wielką pewnością gdzie przed tylu a tylu wiekami zaszła jaka bitwa, kogo koronowano, kogo stracono lub w jakiem miejscu było trzęsienie ziemi.

— „Dzisiaj właśnie Otton Guerike odkrył barometr, to jest przed 224 laty.“

Temi słowy powitał pan Tadeusz swego siostrzeńca.

— „A co ja odkryłem wujaszku!“ wymówił tenże zwolna „popatrz no wuju profesorze.“

I wyjął z kieszeni markę wistową nieco zabrudzoną i ordzewiałą i podał ją staremu.

Ten uznał natychmiast, że to widocznie starożytna jakaś moneta. Oglądał ją, na wszystkie strony obracał, kładł pod szkła powiększające; naturalnie, że nie mógł nigdzie dostrzedz napisu, w pośród arabesków tylko znalazł parę wycisków podobnych cokolwiek z kształtu do róż.

Uczony numizmatyk tedy nie mógł na razie odgadnąć do jakiego monarchy należało mu odnieść tę monetę? W każdym razie nie mogła być wcześniejszą niż panowanie papieża Inocentego III, który to pierwszy dostał od jakiegoś ogrodnika w darze pełną różę, dotąd bowiem znano wyłącznie tylko dzikie, głogowe róże pojedyncze a i te były w takiem zachowaniu, że niemi przystrajano konfesyonały. Ztąd to nazwano wszelkie tajemne zwierzenia *sub rosa dicta*. Zachodziło więc tylko pytanie czy pieniądz ten kazała bić rodzina Yorków czy Lancastrów. Maż to oznaczać białą czerwoną różę?... Ale zkądżeś ty przyszedł do tej monety, chłopcze?

— Siedziałem sobie tam, wśród ruin zamkowych na trawie dziedzińca, rozciągnąłem się wygodnie i czytałem książkę: nagle u nóg moich wzniosła się ziemia. Kret się wynorzył. Wziąłem kamień i już chciałem nim uderzyć niecnotę gdy spostrzegłem coś błyszczącego wśród kretowin; schyliłem się i podniosłem ot ten pieniądz.

— Jakto? I tyś nie szukał dalej?

— Nie, tylko gdym obcasem buta odrzucił ziemię znalazłem jeszcze ze sześć takich samych pieniążków.

I ukazał wujowi garść marek wistowych jedno do drugiej siostrzano podobnych.

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

Bóg w przyrodzie

przez Kamila Flammariona. Przekład z francuzkiego. Warszawa 1875. Nakład M. Orgelbranda.

(dokończenie).

W księdze trzeciej mowa o duszy i mózgu. Rzecz swą rozpoczyna autor godnem uwagi zdaniem Agassiza: „ile razy jakiś nowy i porywający fakt pojawi się w nauce, ludzie mówią najprzód: „to nie prawda;“ potem „to sprzeciwia się religii;“ nakoniec — „wszyscy o tem dobrze wiedzieli.“ Stosuje się to do upartych idealistów, którzy nie chcą rachować się z najnowszemi badaniami fizyologicznemi nad naturą i działalnością mózgu. Bezstronny badacz musi uznać całą wagę tych najnowszych odkryć, musi przyznać że *mózg jest narzędziem duszy*, lecz ani to ani nic innego nie upoważnia go do przypuszczenia że *dusza jest wytworem mózgu*, jak to właśnie utrzymują zbyt pochopni do krańcowych nielogicznych wniosków materyaliści. Ponieważ ani spostrzeżenia nad uwagą mózgu (bezwzględną lub stosunkową), ani nad jego objętością nie dały miary inteligencyi, Flammarion przechyla się do (nie wiele więcej uzasadnionej) hypotezy, według której ilość zwojów mózgowych świadczy o stopniu umysłowych zdolności i przytem przypuszcza, że to właśnie praca myśli, jej ruchy, łamania się i t. d. wytwarzają owe zwoje.*) Dalej mówi autor o działaniu mózgu na oczy (uszkodzenia mózgu, jako przyczyny zboczeń umysłowych choć dostrzega ne nie zawsze u obłąkanych), lecz mówi także i o działaniu ducha na ciało i poświęca słów kilka znanym niedorzecznym twierdzeniom materyalistów, porównywających myśl, jako niby produkt mózgu, z wydzielinami wątroby lub nerek. (Ustęp zawierający owo niefortunne porównanie znajduje się u Vogta Briefe für gebildete Stände str. 206 i nasi materyaliści kłamliwie lubią twierdzić, że nikt z ich obozu takiej niedorzeczności nie wypowiedział!) Wydzieliną materyi może być tylko materya, z tych samych pierwiastków złożona: żółć można widzieć i zważyć, chemicznie rozłożyć, ma ona kolor, smak, ciężar i t. d. a czy cokolwiek z tych własności dojrzał kto w myśli. Büchner poprawiając ową niedorzeczność kolegi, powiada że mózg wydziela nie materyę, lecz siłę, tu Flammarion zapytuje, co znaczy *wydzielać siły* i czyby nie można tak samo wydzielać np. godziny lub mile? Tak to materyaliści albo wpadają w sprzeczność ze sobą, albo uciekają się do wykrętnej sofistyki i ciemnej metafizyki. Büchner posuwa się nawet dalej: zmuszony wyznać, że myśl nie ma w sobie nic materyalnego nazywa ją jednak „skutkiem współdziałania wielu materyi, obdarzonych siłami czyli własnościami;“ to tak jasne i zadawalniające jak np. starożytne zdanie Epikura: „własnością kamienia jest spadanie, dla tego że spada.“ Przechodząc następnie do osobistości ludzkiej, Flammarion rozstrząsa następujące zdanie Vogta: „prawa przyrody są siłami barbarzyńskiemi i niezłomnemi, nie znają moralności ani względów;“ i zdanie Feuerbacha: „przyroda nie odpowiada na skargi i modły człowieka“, nieugięta, odpycha go od siebie“. Nieraz już podnoszono, że takie zasady są mało pocieszające i szkodliwe, ale *uczucie* — nie rzecz nauki która powinna wykazać że to lub owo twierdzenie jest *fałszywe*, gdyż samo wykazanie szkodliwości nie wystarcza. Ponieważ zaś inny jeszcze materyalista nazywa po prostu niedorzecznością przypuszczenie, że w człowieku istnieje cośkolwiek oprócz organów i przyrządów, tym więc sposobem niweczy osobistość ludzką. Flammarion broni tedy osobistości ludzkiej, opierając się na poczuciu jednostek, na zamianie materyi, pozostawiającej jednak nietkniętem *ja* ludzkie na historyi i prawach. Nie bardzo zapewne byliby radzi sami materyaliści, gdyby dłużnik odpowiedział któremu z nich: „to nie ja ci winienem, gdyż przed rokiem, gdym wziął od ciebie pieniądze, byłem zupełnie inny i dzisiaj już nie ma we mnie żadnej cząstki dawniejszego ciała.

Dalej zajmuje się autor kwestyą wolnej woli, którą materyaliści chcieliby zniweczyć, przypisując wszystko nieubłaganym i koniecznym prawom świata fizycznego. Flammarion uznaje wpływy zewnętrznego świata na człowieka i nie przypisuje mu swobody bezwzględnej, ale dowodzi znacznej w każdym razie wolności woli i dowodzi przeważnie praktycznie, przytaczając przykłady z historyi i żywotów ludzi zasłużonych, którzy z wytrwałą energią, mocą charakteru zwalczyli tysiące przeszkód, przełamali materyalne wymagania i zawady i zdołali, już to wydobywszy się z nędzy i ciemnoty na stopień świeczników ludzkości, już to, wbrew żywiołom, klimatowi i t. d. odkryli nowe światy, dobroczynne wynalazki i t. d. W księdze czwartej autor zajmuje się kwestyą celowości w naturze, Nie ukrywa tu on śmiesznej przesady, w którą wpadali zbyt jednostronni zwolennicy tego poglądu, że wszystko w świecie istnieje i dzieje się dla człowieka: jak pewne dziecko utrzymywało, że drzewo rośnie dla tego, ażeby było gdzie bawić się w chowanego, a jakiś żartowniś utrzymywał, że nogi istnieją po to, aby były obute, a nos dla tego, aby dźwigał okulary; tak na seryo utrzymywali niektórzy że przypływ morski istnieje dla tego, aby okręta mogły zawijać do portu, że w miejscach piaszczystych deszcz nie pada dla tego, że byłby się tam zmarnował, że pchły dla tego są czarne, ażeby je łatwiej było można dostrzedz na białych pończochach, a kruki — dla tego aby zające mogły je dojrzeć na śniegu.

*) Nie zgadzamy się na to, gdyż *ruch myśli*—to tylko wyrażenie przenośne: ruch ten nie może być materyalnym i mechanicznym, jak np. obieg krwi, a więc i nie może pozostawić po sobie materyalnych, widocznych i dotykalnych śladów.

Flammarion dowodzi obszernie, że człowiek wpada w gruby błąd, kiedy wszystko do siebie odnosi, ale wpada w inną ostateczność, kiedy nie uznaje planu stworzenia dla tego, że plan ten nie odnosi się wyłącznie do niego. Wszechświat — planety, gwiazdy i t. d. nie dla człowieka istnieje, ale ziemia widocznie dla tego, aby była siedliskiem życia i inteligencyi. Przeciwnicy celowości przytaczają, jako argumenta, istnienie tworów szkodliwych i różnych zboczeń w przyrodzie, ale to wyjątki i anomalije; inni sądzą, że człowiek powinienby być zbudowany z marmuru lub żelaza, i że światło powinnoby przebiegać prędzej; takie śmieszne zarzuty nie zasługują na zbijanie. Weźmy ciało ludzkie choćby tylko np. oko—czy w budowie tego cudownego organu nie widać rozumnego planu? Ziemia istnieje po to, ażeby rozwijało się na niej życie i żeby żyjące na niej istoty były szczęśliwemi.

Następnie autor mówi o instynkcie i inteligencyi tworów żyjących. Odróżnia dwie te władze tym sposobem, że w instynkcie wszystko jest ślepem, koniecznem i niezmiennem, a w inteligencyi wszystko jest wzniosłem, warunkowem, ulegającem zmianom. Instynkt jest wrodzonym, inteligencya wypływa z doświadczenia i nauki. W instynkcie wszystko jest wyłącznem, do jednego celu skierowanem (np. instynkt budowniczy mrówek i bobrów), w inteligencyi wszystko jest ogólnem, do rozmaitych celów dającem się zastosować (np. zmyślność psa). Z tego że zwierzęta posiadają nietylko instynkt, ale i pewny stopień inteligencyi, wynika właśnie, że pośród istot żyjących (nie mówiąc już o człowieku) jest pewna swoboda, dążenie do rozumnych celów i panowanie wyższych planów. Naszem zdaniem (co Flammarion niedość uwydatnił) ta okoliczność że niektóre zwierzęta posiadają inteligencyę nietylko że nie świadczy przeciwko duchowemu pierwiastkowi, jak to niektórzy sądzą, lecz owszem stwierdza istnienie wyższego kierownictwa. Sam nawet instynkt każe przypuszczać źródło i twórcę tej władzy, zwierzętom nadanej Flammarion przytacza wiele zajmujących szczegółów w tym przedmiocie i zbija zdanie Darwina, przypisujące instynkt dziedziczności; zdaje się nam tylko, że nasz autor niedość wyraźnie określił pojęcie dziedziczności, gdyż dowodzi głównie, że instynktowe czynności zwierząt nie mogły być nabytemi przez naukę od rodziców: dziedziczność zaś, jako spadek pewnych przymiotów i własności, zdaniem naszem, bynajmniej nie mówi na korzyść poglądów materyalistyczno-mechanicznych, gdyż pozostaje na zawsze czemś tajemniczem, niewytłómaczonem, nie dającem się objaśnić fizycznie ani fizyologicznie. Łatwo powiedzieć, że w instynkcie nie ma nic dziwnego, że to rzecz naturalna, bo od rodziców odziedziczona, ale jaką drogą i przy pomocy jakich wpływów, wyjaśnić niepodobna.

W ostatniej księdze p. n. „Bóg" autor zbiera i streszcza swoje wnioski, z poprzednich roztrząsań wynikające, podług podanych przez nas powyżej ze wstępu do dzieła założeń. Stwierdziwszy na wszystkich punktach naukowych badań istnienie Boga, jako ostateczny wniosek, wykazawszy że żadne z tych badań nie prowadzą do odrzucenia wiary w Boga, a więc stwierdziwszy swoje założenie nie zamilczeniem lub przekręceniem naukowych danych, lecz jedynie wykazaniem złej woli, błędów rozumowania i nielogiczności tych którym się zdaje że nauka doprowadza do zwątpienia o Bogu, autor rozwija w następstwie własne pojęcia o Bogu. Tu właśnie kieruje nim często fantazya, niekiedy bowiem uwydatnia się w jego poglądach pewny ateizm mistyczny. Nie szkodzi to bynajmniej wartości dzieła, gdyż doprowadziwszy swoje badania do pewnego i nieomylnego punktu — istnienia Boga — autor dalej wkracza w sferę rozumowaniom niedostępną i nie może oprzeć się pokusie wytwarzania własnych hypotez religijnych. Nie będziemy więc obszerniej zastanawiali się nad tą ostatnią częścią pracy Flammariona: przytoczymy wszelako parę jego zdań.

„Nieświadomość uczłowieczyła Boga, nauka go ubóstwiła. Niegdyś Bóg był człowiekiem, dziś jest Bogiem."

„Kształt, określenie, czas, trwanie, miara, stopień potęgi lub działalności, opis, nie stosują się już do Boga. Nazwa nawet okrywa ideę niezupełną, należałoby módz mówić o Bogu bez udzielania mu nazwy."

„Najwznioślejsze nasze pojęcia padają bezwładne u stóp Istoty Nieznanej. Gdy wymawiamy wyraz „nieskończony" wyrażamy własność której charakter jest nam zupełnie nieznanym. Całkowita suma wszystkich naszych myśli, w obec tej bezwzględności nie waży ani obala. Oto w co wierzyć nam każą odkrycia naukowe: rozszerzając sferę rozważań naszych i rozlewając pouczające światło na ogólny układ wszechświata, wyjaśniły i rozszerzyły pojęcia nasze o bóstwie."

Poddając następnie krytyce pojęcia o Bogu, przez rozmaite doktryny wygłaszane, autor słusznie przeciwko tym, którzy niewiarę uważają za tryumf rozumu i zaprzeczają istnienia najwyższego rozumu, wymierza następujący trafny pocisk: „czy nie jest ze strony istoty rozumnej szczytem bezrozumu przypuszczać, że rozum nie istnieje?" Dla braku miejsca, nie będziemy już rozpatrywali wielu innych uwag autora, tyczących się ateizmu i pozytywizmu, którego założyciel Comte, chociaż zaprzeczał istnieniu Boga i odrzucał potrzebę religji, skończył na tem, że sam wymyślił cudacką religję i śmieszne obrzędy (p. artykuł p. Smolikowskiego w czerwcowym zeszycie Biblioteki Warsz. r. b.). Kilka słów poświęca też Flammarion wykazaniu, że ludzkość nic nie zyskała nigdy i nie zyskuje na ateizmie.

Nie mogąc poprzestać na krótkiej wzmiance ani na pobieżnej ocenie dzieła takiej wagi i tak znacznych rozmiarów (462 str.), usiłowaliśmy w niniejszem sprawozdaniu dać jego wartość. W ogóle dzieło to bardzo i u nas potrzebne i pożyteczne. Przekład w ogóle poprawny.

L. Sz. W.

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.
W WARSZAWIE.

Krajobraz pana F. Brzozowskiego — *W parku* — wabi nas dziwnym urokiem. Cóż w nim tak szczególnego? Ot, sobie strumyk i drzewa — jak inne!... ale jaki to liść się na tych drzewach chwieje, jaka się brzegiem usłała murawa! Zdrój bieży ku nam wśród jasnej zieleni, rad wielce płukać coraz wiotsze trawki; aż twardą z głazów zawadę spotkawszy, rozprysł się nagle w srebrną wody pianę. Gniew jednak kapryśnika nie bardzo nam straszny. Nie znać tu szamotania sił, ani hałasu; jeden tylko promyczek rozdąsanej fali bryznął pod brzegi, a wnet i po zwadzie! Wody się rozpływają w gładziuchne zwierciadło; w niem się przegląda gaj i kwiecie drobne. Nikt nie zamąca jego błogiej ciszy, co było może zamiarem malarza, szmer wody nas kołysze w półsennym marzeniu, chęć wiedzie mimowolnie na miękkie kobierce; spoczywamy wśród cienia... milknie głos daleki... liście z lekka szeleszczą i... budzimy się z uśmiechem.

Jest że w tem nieco przesady? Nam się zdaje, że nie. Czuliśmy — patrząc, czar ów nie wywołany przemocą effektów. Słońce ma także zasób niemałej fantazyi: Snop światła tryska z za chmur między gąszcz spleciony, śle migotne odblaski pobliskim krzewinom, złocą się w dali dębów wierzchołki, świerk upadł cieniem na jedną murawę; tonie się mienią barwą traw lub chmur: świetlane — to znów czarne wód głębiną, co podniesione jeszcze siłą sztuki, jest fałszem lub arcydziełem.

W parku zaś nie szukamy wzniosłej deklamacyi. Deszczowe chmurki zbierają się w górze. Łagodne światło rozwidnia krajobraz. Prostota sama poezyą się staje. Widz odchodzi z wrażeniem miłego spokoju. Można dziękować artyście.

Drugi podobnej osnowy krajobraz, ożywiła wesoła gromadka myśliwych. Strzał celny ugodził zwierza trąbka obwieszcza lasom tryumf odniesiony. Ruch dodał polującym nieco apetytu. Ognisko się roznieca... więc i nadzieja posiłku. Idziemy dalej.

Pan Szermentowski dał nam kilka krajobrazów. Od kępy co nas kiedyś prawdą podchwyconej natury zadziwiała, przechodzimy całą gammę wierzb, drzewin, wód i samotnych alei ogrodów. Nie koniecznie samotnych: są i znaki życia.

Na jednej rozgrywa się dramat w miniaturze. Gałęź pękła i gniazdo niewielkiej ptaszyny upadło na ścieżynę. Na niebie jasno, na ziemi wesoło, kwiecia aż gęsto pośród bujnej trawy; ciszę przerywa tylko krzyk biednych ptasząt, nad zniknią nagle małych piskląt nadzieją. Nikt go nie słyszy. Słońce świeci jak przedtem i jak świecić będzie. Kogóż obchodzi ból wątłej ptaszyny. Przyroda milczy, głucha na odgłos rozpaczy. Tak czasem milczą serca obojętne... a! szczęściem że nie wszystkie... ale...

Dramat to wcale nie wzniosły, lecz któż objemie bezmiar lub zakres uczucia? Kropla wody ma równie swój świat istniejący, jak niezmierzona głębia oceanu.

Co do strony technicznej — byłoby życzenie.

Czy wielki talent gardzi pracą drobiazgową? Drzewa jakby się chwiały pod rzutami pędzla, nie mogą się pochwalić swym powiewnym liściem; ztąd ów cień siniejący w dalszej perspektywie, zdaje się być niechcący rozwiedzoną plamą. Artysta raczy nam wybaczyć. Im większy talent, tem większe żądanie.

W następnym krajobrazie widzimy znów kępę. Wierzby rosną jak zwykle nad przejrzystą wodą, dalej drzewo złamane roztacza zachowanych gałęzi ostatki. Z głębi zagaju dąży staruszka zgrzybiała: druga złamana latami drzewina. Obie niedługo legną podcięte. Dzień za dniem chyżo przemija. Pod kosą czasu lub ostrzem siekiery, koniec je czeka jednaki. Uwagi te są może za sentymentalne, lecz sentymentalniejszy jeszcze ów osiołek, w widoku także pędzla pana Szermentowskiego p. t. Łąka w Tatrach. Stoi on smutnie nad próżnym koszykiem. Nic go snać nie obchodzi nic go snać nie cieszy. Tyłem się obrócił do potoku i duma.... duma... o smacznej w towarzystwie obroczku przyszłości. Gdybyż co było w tym brzydkim koszyku! Pia desideria! Tu nawet osty podobno przepadły! Co mu tam po tych przepadzistych Tatrach! Poczciwiec!

Obok stoi młyn wodny w cieniu wierzb i olszyn. Koła spoczęły, woda zwolna sobie płynie. Po rzece brodzi malec; a może brodzić śmiele, bo patrzą nań piorące u brzegu kobiety. Jedna jak się nam zdało, zwija się z estetycznym szykiem postawy i przyodziewku.

Jest jeszcze inny utwór, owiany szatą fantazyi. Dokoła smutno i pusto. Grunt się rozpadł miejscami w zbiorowiska wody, kędyś tam płynie rzeka z pod ciemnego lasu, i kościół widać pomiędzy drzewami. Gdyby nie owe brzózki co na wzgórku rosną, byłoby smutniej posępniej jeszcze. Trawy tylko wysokie szumią po nad wodą.

W przestrzeni cisza i mrok. Noc wkrótce ustąpi słońcu, gdy błękit muśnie pierwsze jego brzaski. Jest to chwila oczekiwania: modro-szarawe zwiastuny przedświtu. Nad śpiącą ziemią ciągną sine chmurki; rozsypały się lekko jak runa po niebie, lecz wiatr dmuchnął od wschodu, obłok się nagle skłębił zmącony, i z mgły wyrosło niebieskie widziadło; Gwiazda Zaranna w chmur rozwianych szacie. Księżyc cieniuchnym sierpem legł pod jej stopami, nad czołem tleje łagodne światełko; niesie ona w snach cichych znużonemu światu, drugą gwiazdkę: żyjący blask wiecznej nadziei. Pomysł tchnie smętkiem poezyi ludowej, nie sprawia jednak silnego wrażenia.

Krajobraz pana D. Budkowskiego, jest przeciwstawieniem utworów pana Szermentowskiego. Wytrwałość jego wyrównywa pracy. Drzewa nie tracą ani jednego listka, woda przejrzystsza nawet od kryształu, księżyc zalewa blaskiem najczystsze błękity, srebrzy promienie biały wianek chmurek, złoci nieznacznie gęsty las nadbrzeżny; brak tylko lotnych boginek mknących leciuchno po świetlanej toni. „Jakież to śliczne!" mówimy, ale.... jest że tam prawda i natura? Nie śmiemy odpowiedzieć.

Pan H. Filipowicz, wiedzie nas do lasu, narażając na słuszny zarzut niedyskrecyi; w lesie, albowiem — ma być... schadzka!.. Schadzka?... cofnijmy się lepiej. Ciekawość przemaga. Podpatrujmy więc zdaleka.

W cieniu rozłożystych konarów, na wielkiej kłodzie ściętego drzewa, usiadła młoda dziewica. Musiała dążyć pośpiesznie, lecz nie zastawszy celu swych dążeń, rozgniewała się nieco. Ten: *ktoś drugi*, jak widać nie bardzo się śpieszył! Troszkę niemiło przybywać najpierwszej, więc się skrupiło na niewinnych: szal kapelusz i parasolka padły ciśnięte na trawę.

„Nie przyszedł!" Dziewica czeka; z nudów rozłożyła książkę, ale myśl daleko odbiegła, ręce bezwiednie spoczęły na kartach. Z lasu tak śliczny widok na wązką ścieżynę, drzewa kąpią się w blaskach wesołego słońca.... Smutna!.. na ścieżce nie ma nikogo!

Nadchodzi wreszcie niespostrzeżony. Śpieszyłże tęsknie do swej ukochanej? Żądanie schadzki oznacza przeszkody, ztąd konieczność obrony, rad albo pociechy. Obie strony szukają deski ocalenia w tajnej dla nich rozmowie. Miejsce oznaczone.... przychodzą tedy: ona z biciem drżącego serca, on z powagą na męzkiem czole.

Tu dzieje się inaczej. On — dość przystrojony chłopiec, w myśliwskim ubiorze, obchodzi gruby pień drzewa, pod którym go tak długo oczekują; ujął oburącz lufę nie strasznej dziś dla zwierza broni. Chciałżeby nas przerazić odgłosem wystrzału? Nie sądzimy. Prędzej się może zanosi na figiel. Chce stanąć niespodzianie przed smutną dziewicą. Przeczuwając wrażenie uśmiecha się błogo, lecz.... i szyderczo zarazem. Pies nawet gończy zrozumiał chęć pana, bo się powoli skrada zadyszany. Czy zaszczeka? Byłoby to najlepszą niespodzianką chwili. Dziewica, nagle wzruszona, może nie dostrzegłszy że ten w którym złożyła swą ufność i wiarę, jest tylko — płochym młokosem.

Jeżeli zaś inną była myśl artysty, jeźli uśmiech młodzieńca ma oznaczać radość z ujrzenia kogoś miłego, to pędzel złym jest tej myśli tłomaczem. W danym razie młodzieniec szedłby wprost z pośpiechem; pies by zaszczekał, widząc kogoś w lesie, i dziewica byłaby odwróciła głowę. Zostajemy przy swojem.

O młody panie! tyś nie wart ażeby... Jednak... jeśli i ona?... Nie kończmy.

Młoda dziewica, co swą godność ceni, pewno rozmowy po łasach nie szuka. Więc odejdź ztąd, ty zawiedziona! ów panicz nie dla ciebie! W tym wieku ma się cokolwiek rozsądku. Idź w rozświeconą dal ścieżki! Oby tak jasną była droga twego życia!

Morał się wysnuł z wrażeń sytuacyi; jest to więc pedantyczna ocena obrazu, co zaś do artystycznej? Ugrupowanie drzew stanowi jego ozdobę, perspektywy nie lekceważono, lecz umieszczony w złem świetle na ścianie Wystawy więcej traci niż zyskuje.

ZAWIADOMIENIE.

P. Stanisław Gargulski, utrzymujący Szkołę dwuklasową męzką w Warszawie, o którym parę razy bardzo pochlebnie wspominaliśmy w naszym Tygodniku; na mocy zezwolenia Władzy naukowej, od nowego roku szkolnego otwiera szkołę trzyklasową z kierunkiem realnym, przy ulicy S-to Krzyzkiej Nr 34. Ponieważ kierunek ten odpowiada życzeniu wielu Rodziców i Opiekunów, szukających odpowiedniego pomieszczenia dla młodzieży rozpoczynającej naukę w obszerniejszym zakresie, i że podobny Zakład naukowy jeden tylko w tym roku otwartym zostanie, czujemy się przeto w obowiązku dać bliższą o nim więcej szczegółową wiadomość.

Przedmiota mające się w nim wykładać są następujące: religija, języki: polski, rosyjski i nowożytne, arytmetyka niższa i wyższa, geometrya, historya, geografija powszechna i Rossyi, nauki przyrodzone, fizyka, rysunki techniczne z zastosowaniem do miernictwa i budownictwa, oraz pięknopismo.

Każda klassa dzieli się na dwa oddziały czyli że jest dwuletnią, kurs przeto wykładowy trwa lat sześć, a krócej dla postępujących na wyższe oddziały. Inaczej, uczeń ma dość czasu i odpowiedni program do przejścia kursu klas czterech realnych z klassą wstępną, przedmiota zaś dodatkowe, jak nauki przyrodzone, fizyka i nacisk w rysunkach, przygotowywa go do oddziałów wstępnych Szkół politechnicznych.

Uczniowie są przychodni, półpensyonarze i stali pensyonarze. Opłata szkolna dla przychodnich wynosi:

Do Klassy wstępnej miesięcznie rs. 4, z korepetycyą popołudniową rs. 6.

Do klassy 1-ej mies. rs. 5, z korep. rs. 7 k. 50.

Do klassy 2-ej i 3-ej mies. rs. 6, z korep. rs. 9.

Półpensyonarze otrzymujący drugie śniadanie objad i podwieczorek i korzystając przytem z rozmowy w obcych językach, dopłacają do powyższej opłaty miesięcznie rs. 10. Pensyonarze zaś stali za całe utrzymanie z pomieszkaniem, korepetycyą i rozmową w obcych językach, płacą rs. 300 za rok szkolny dziesięć miesięcy obejmujący.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Przyrządy do bicia piany, oliwy i t. d.

Bicie piany z białek, oliwy do majorezów, śmietany kwaśnej i śmietanki słodkiej do różnych legumin, jest rzeczą niezmiernie zmudną i męczącą; niedogodności te usunął świeży przyrząd amerykański, którego praktyczność wielką wygodę w kuchennem zapowiada gospodarstwie.

Przyrząd do bicia oliwy, stanowi prosty zupełnie równy i gruby słój szklanny lub blaszany, opatrzony wewnątrz wkładającą się maszyneryą, która jest niczem innem jak zwykłą wyborową sprężyną kilkakrotnie skręconą. Sprężyna ta w dolnym swoim końcu przymocowana jest do metalowego tłoczka, przez wierzch pokrywy przechodzącego. Za każdem poruszeniem tłoczek ugina sprężynę, która równo i silnie bije oliwę nalaną do słoja.

Przyrząd ten ze szklannym słojem kosztuje rs. 2 kop. 70, z blaszanym zaś rs. 1 k. 90.

Drugim jest przyrząd do bicia piany z białek, śmietany i śmietanki, z których, szczególniej śmietankę można nawet na półmisku przyrządzić. W wypadku konieczności dodania do gotowego już obiadu, leguminy, przyrząd ten nieoszacowaną jest rzeczą, tak w jednej chwili wybawia gospodynię domu z kłopotu, ułatwiając w kilku minutach przygotowanie słodkiego dania.

Dogodna w nim rączka metalowa zakończona jest maleńkiemi trybowemi kółkami, które z sobą łączy na drutach obsadzona nieruchoma obrączka: z obu stron drutu do kółek przymocowane są, takież same tylko z płaskiej blachy półobręczki; obręczkom tem ruch szybki wirowy nadaje większe zębate kółko z rączką, którego tryby ściśle wpadają w trybki małych kółek.

Przyrząd ten nadzwyczajnem cieszący się odbyciem kosztuje rs. 1 kop. 50.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Elodyi v. W. w Czerepinie. Kostium żagnotowy lub muślinowy kosztuje od rs. 18 do 35. Koszta przesyłki wyniosą zapewne rs. 3. Najlepiej na miarę przysłać stanik dobrze leżący, chociaż i miarka papierowa z wyraźnem wypisaniem centymetrów, długości spódnicy z przodu, stanika wzdłuż pleców, przodu, rękawa, boczka, szerokości ramion i piersi, obwodu w pasie i niżej gorsu, jest zupełnie dostateczna.

Opis ryciny kolorowej.

Fig. 1. Ubranie spacerowe. Spódnica z kontrafałdą i stanik z baskiną odszyte są z różowego jedwabnego bareżu. Przód sukni przybrany fałdowanym wolantem, marszczonemi falbankami, które z boków przyciśnięte są kokardami, bufami i plisowaniem muślinowem. Kwadratowy wykrój stanika otacza różowa falbanka i plisowanie muślinowe; marszczone rękawy garnirowane są różowem i białem plisowaniem, pliskami i kokardami. Szarfa z bareżu lub jedwabnej materyi. Kapelusz słomkowy z czarnym aksamitnem rondkiem, przystrojony różową broszowaną wstążką i białemi kwiatami

Fig. 2. Ubranie spacerowe. Suknia z popielatego bareżu ma tunikę przemarszczoną z boku i tyłu i dopełnioną bufą, podpiętą szarfą. Brzeg baskiny otrzymuje grubą wypustkę ze sznureczkiem; marszczone rękawy ozdobione są mankietami, plisowaniem i kokardami. Spódnica zakończona wolantem z plisowaniem i podwójną bufą z nagłówkiem. Słomkowy kapelusz przybrany białym jedwabnym szalikiem, który ufałdowany jest na główce, z przodu przypięty kwiatami i piórem, a z tylu wiązany w kokardę ozdobioną gałązką kwiatów.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 16 (28) Іюля 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 31.

N. 1. Suknia z vêtement zapinanem na ramionach, zwanem bluzą grecką. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4. Zobaczyć także ryc. 23 i 26 w nast. N-rze.

Zupełnie nowy rodzaj vêtement stanowią bluzy greckie z przodu wcale nierozcięte, na ramionach zapinane, a w pasie bardzo szeroką, lekko przerzuconą szarfą przewiązane. Fason ten zarówno przez młodziutkie panienki jak i przez starsze osoby noszony bywa, a szarfa zawsze z boku związaną być powinna. Na ryc. 1, bluza z grenadyny w paski; włożona jest do sukni jedwabnej, tego samego koloru, z jedną falbaną ułożoną w odstępach w kontrafałdy. U dołu zakończona jest skośną falbaną z grenadyny, oszytą koronką, a z przodu przybrana materyją w kontrafałdy układaną. Ryc. 26 w N. 32 przedstawia suknię gładką czarną i także lekkie vêtement oszyte kosztowną koronką. Na ryc. 23 w N. 32 ubranie młodziutkiej panienki, stanowi suknia linowa blado popielata z vêtement ciemniejszego koloru, ozdobionem haftem kolorowym i przepasanem kolorową szarfą. Zmniejszony rysunek pojedynczych części vêtement wskazujący dopasowanie części kroju i ufałdowanie czynią opis prawie niepotrzebnym. Dodamy tylko że po starannem zeszyciu ze sobą przednich części fig. 1 i 2, od A do B, a następnie części tylnych od E do F; pozostawia się podług woli, z boku prawego albo lewego otwór nie zeszyty od góry aż do C, zeszycie zaś daje się tylko od C do D; z tej strony także ramiączko pozostaje nie zeszyte.

Z drugiej strony ramiączko zeszywa się od L do M, a szew boczny od wcięcia w pasie, to jest od dwukropka do D. Jedno ramię zeszywa się dodawszy sznureczek przy drugiem otwartem przód jest obordowany, a do zapinania przyszyte są haftki od spodu, u boczka zaś daje się maleńkie pentelki do spięcia ramienia. Rozporek z boku spódnicy zapina się na guziczki. Nakoniec boczek z plecami zeszywa się gładko od G—H, wyżej daje się fałdy na formie oznaczone, a służące do podpięcia bluzy z tyłu; najwyższa fałda jednakowemi numerami na Fig. 3 i 4-tej oznaczona, wypada na szwie pod literą *F*.

W środku bryt tylny podpięty jest za pomocą guzika i pentelki, jak to widać na ryc. 26 w N. 32 Tygodnika. Skośny kawałek materyi u góry 16, u dołu 24 cent. szeroki, ułożony w kontrafałdy, służy do ugarnirowania przodu vêtement ryc. 1. Na nagłówki zostawia się dwa cent. z każdej strony, gładkie odstępy pomiędzy fałdami mają od dołu 5, ku górze tylko 3 centymetry. Na ryc. 26 suknia jest z ciężkiego czarnego rypsu, vêtement z gładkiej grenadyny oszyte szeroką koronką.

N. 2. Vêtement z przodu zapinane na guziki. Szal z krepy jedwabnej.

Ubranie to składa się z niebieskiej linowej spódnicy ogarnirowanej 19 cent. szerokim wolantem, zakończonym plisowaniem i szeroką bufą z nagłówkami; oraz z vêtement z lekkiego materyjału écru w muszki, które odznacza się fantazyjnem udrapowaniem. Tylny bryt vêtement mający 115 cent. szer. kraje się razem z pleckami, od dołu trochę skośno zcina ku górze, jedną stroną zeszywa z bocznym brytem, z drugiej obrębia i puszcza luźno, podpięty w 4 fałdy 5 cent. głębokie. Luźno pozostały bryt boczny 44 cent. od dołu, jest cztery razy na 8 cent. szer. przefałdowany, założony na wierzch bryta tylnego 8 cent. od wcięcia stanu i przyczepiony w ten sposób, ażeby dochodził do środka.

Kokardy i końce ze wstążki niebieskiej przypina się w sposób na ryc. 2 wskazany. Brzeg zaś vêtement zdobi koronka 7 cent. szeroka, od spodu do podpięcia dodane są tasiemki i guziczki. Koronkę wzdłuż z przodu naszywa się na dwie strony. Rękawy ozdobione naprzemian dwoma plisowanemi, 7 $^{1}/_{2}$ cent. szerokiemi falbankami i koronką. Blado niebieski szalik z tkaniny podobnej do krepy, z jedwabiu mieszanego z wełną, w koło frendzlą przyrabianą ozdobiony, mający 70 cent. szerokości a 268 długości, dopełnia to strojne ubranie.

N. 3. Koronka z mignardise i roboty szydełkowej.

N. 4. Koronka z mignardise, sutaszu i kratki koronkowej do ryc. 32.

N. 5—6. Kieszonka do powieszenia nad łóżkiem. Haft dziergany.

Materyjał: Pąsowy atlas bawełniany, biały muślin, biała pika, bawełna N. 30, plecionka bawełniana i sutasz biały, pąsowa bawełna do znaczenia, dwa guziczki płóciennne.



N. 1. Suknia z vêtement zapinanem na ramionach zwanem bluzą grecką. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4.

N. 2. Vêtement z przodu zapinane na guziki. Szal z krepy jedwabnej.

Kieszeń ścienna przeznaczona na bieliznę nocną albo gazety, ma boki otwarte dla dogodnego wkładania i wyjmowania przedmiotów. Na taką kieszeń potrzeba kawałka pąsowego bawełnianego atłasu, 36 $^{1}/_{2}$ cent. szer. a 50 długiego, pokrytego gładko muślinem, którego brzegi są do środka 1 cent. zaobrąbione; w górze jeden brzeg muślinu szeroko obrąbiony zachodzi na wierzch, a w obrąbek dla nadania sztywności nawłóczy się fiszbin; pod tym obrąbkiem zeszywa się torebkę od spodu. Zwierzchnia strona ozdobiona jest bufkami 4 cent. szerokiemi i paskami haftowanemi na pice sposobem gipiurowym podług deseniu podanego na ryc. 6 w naturalnej wielkości. Dzierganie i haft płaski odrabia się białą bawełną, a ściegi długie dodaje pąsową; każdy pas u dołu zakończony jest frendzlą bawełnianą. U góry brzegi pasów i bufek objęte są plecionką białą.

Uszy do zawieszenia torebki splecione są ze trzech promieni szerokiej plecionki, z brzegów sutaszem oszytej, w środku wyszytej pąsową bawełną; ułożywszy i przyczepiwszy sznury w sposób na ryc. 5 wskazany, końce zaszywa się guzikami pąsową bawełną wyszytemi i kwastami białemi z pąsowem.

N. 7—9. Torebka na bieliznę nocną. Haft gipiurowy i koronka irlandzka.

Materyjał: Płótno écru, perkal biały, bawełna biała i écru, tasiemeczka écru.

Haft gipiurowy odrabia się na płótnie cienkiem écru, bawełną takiegoż koloru; podług deseniu Fig. 25—26, szlak zaś ściegiem minutowym na perkalu białym, także bawełną, podług ryc. 9, z brzegów nakoniec dodaje się koronkę écru, której deseń naturalnej wielkości, załączamy na ryc. 8. Na zeszyciu oddzielnych części stębnuje się wąziutki pasek perkalu, naszywa gładką tasiemeczkę koronkową, albo daje rząd dziergania. Pod haft daje się jedwabną albo bawełnianą kolorową podszewkę, która ładnie odbija przez ażury.

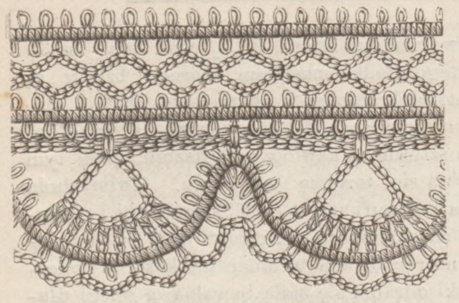
N. 10 i ryc. 40 w N. 32 Tygodnika Kapelusz ogrodowy z muślinu lub batystu. Krój N. IV, Fig. 8—10.

Kapelusz robi się z batystu w muszki, albo z muślinu z kolorową podszewką; na rondko bierze się pasek prosty, 82 cent. długi, w środku 14 cent. szeroki z zewnętrznego brzegu ku końcom, do 7 $^{1}/_{2}$ cent. zwężony, zaszywa się w nim 4 obrąbki do wewleczenia trzcinek, na których przymarszczą go się podług Fig. 9. Karczek (Fig. 10) fałduje się podług oznaczonych krzyżyków i punktów, i przyszywa do rondka od V do W. Główkę podług Fig. 8 przykrojoną, sztywnym muślinem podszytą i do 56 cent. obwodu przyfałdowaną, wszywa się do rondka i karczka podług jednakowych liter i obejmuje listewką z drutem, 2 $^{1}/_{2}$ cent. szeroką.

Od spodu pod rondko podszywa się wzdłuż 3 druciki muślinem owinięte, jeden od drugiego 7—10 cent. odległe, których końce do brzegów rondka są przymocowane. Zewnętrzny brzeg rondka ogarnirowany jest riuszą w ząbki wyciętą, 3 $^{1}/_{2}$ cent. szeroką, także riusza 6 $^{1}/_{2}$ cent. szeroka, naszyta jest dwa razy z przodu, a raz z tyłu główki. Kokardy i szarfy w ząbki wycięte mają 8 cent. szerokości.

N. 11. Pasek z karoczkiem.

Na karoczko podpięte kokardami, potrzeba kawałka, mającego 50 cent. szer. a 24 długości który od dołu wycina się do 14 cent. środkowej szerokości, a u góry ukła-



N. 3. Koronka z mignardise i roboty szydełkowej.

da w głęboką potrójną kontrafałdę, do 11 cent. szerokości. Od spodu karoczko podpina się puklami z obrąbionego skosu, z których dwa najdłuższe pod końcami karoczka przypięte pukle, mają 32 cent. długości a 14 szerokości, trzy zaś środkowe 7 cent. szerokości a 16, 19 i 22 długości. Model odrobiony był z kretonu w kratę niebieską i popielatą z wypustką i pliską białą.

N. 12. **Pasmanteryja** do mantyli ryc. 14.

N. 13 i 14. **Mantyla**. Krój i opis N. II, Figura 5-A—5-B na arkuszu z formami.

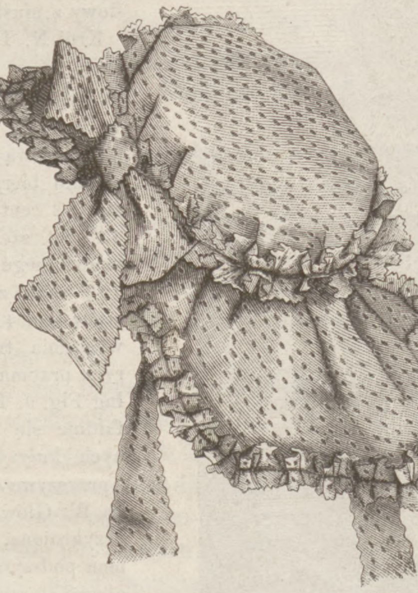
N. 15—16. **Trzewik** do kąpieli. Krój i deseń N. XV, Fig. 60—61.

Trzewik przykrawa się z niezbyt cienkiego, gęstego płótna niewarowego, zeszywa od x—y, a pod szew daję od spodu wązką listewkę płócienną; w miejscach na ryc. 15 wskazanych wybite są z przodu dziurki jak od sznurowania, przez które woda odpływać może. Kotwicę zdobiącą trzewik wyszywa się ściegiem łańcuszkowym, włóczką szafirową.

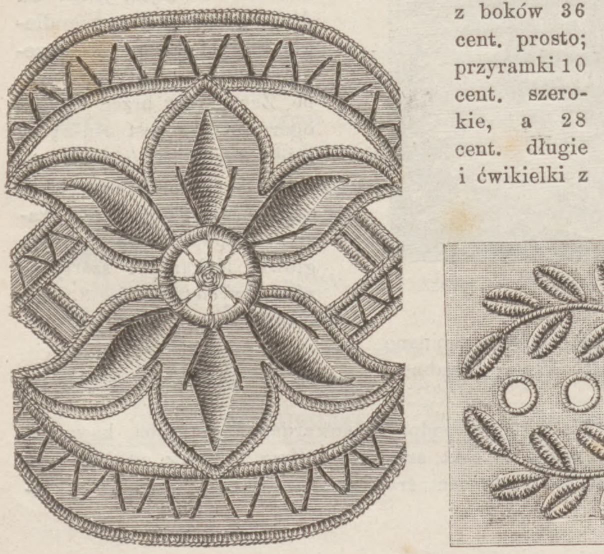
Oszycie, kokardy i wiązanie, jest z tasiemki szafirowej wełnianej. Podeszew z plecionki konopnej można kupić gotową, albo samej odrobić, zwijając i zeszywając jedną koło drugiej, plecionkę ze sznurka konopnego. Następnie mocną nicią przyszywa się podeszew do cholewki; w środek trzewika wkłada się drugą podeszew korkową, w palcach i w pięcie do poprzedzającej przyszytą.

Numer 17. Płaszcz do kąpieli. Deseń wyszycia na arkuszu z krojami Figura 62.

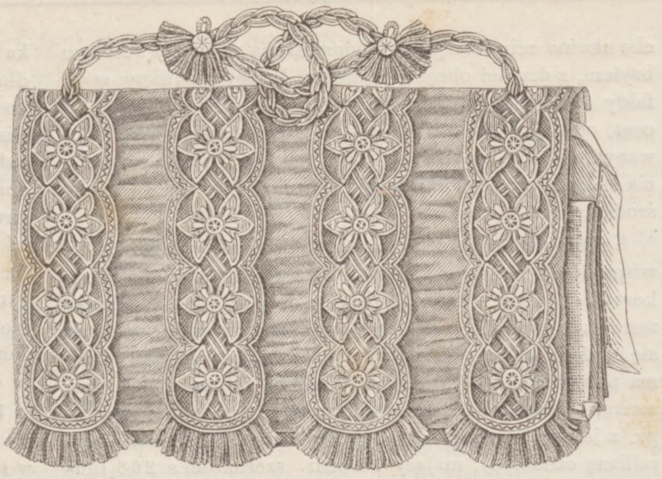
Płaszcz z flaneli albo ruberstofu, przykrawa się podług dawnej formy nocnej koszuli, z rękawami i przyramkami z ćwiklami i prostym kołnierzem. Stan z przodu roztwarty, ma 120—130 cent. długości a 164 szerokości. Pachy przecinają się z boków 36 cent. prosto; przyramki 10 cent. szerokie, a 28 cent. długie i ćwikielki z



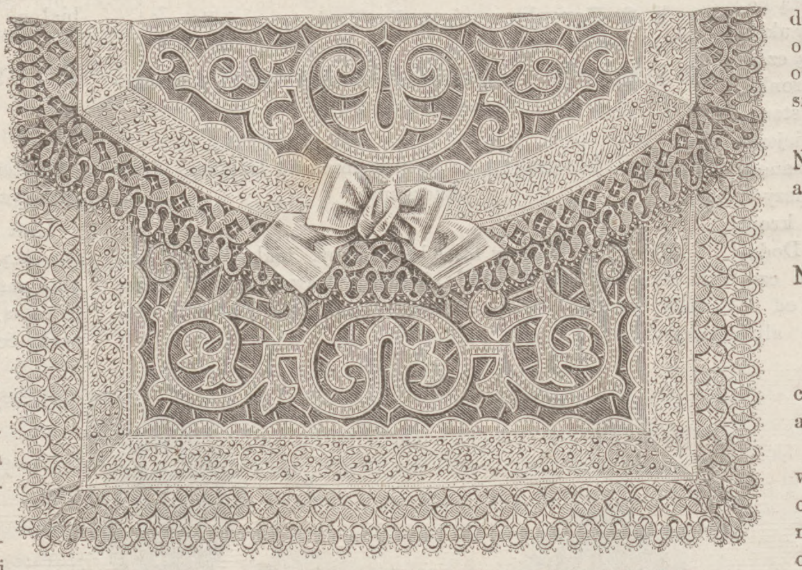
N. 10. Kapelusz ogrodowy z muślinu lub batystu. Krój N. IV, Fig. 8—10.



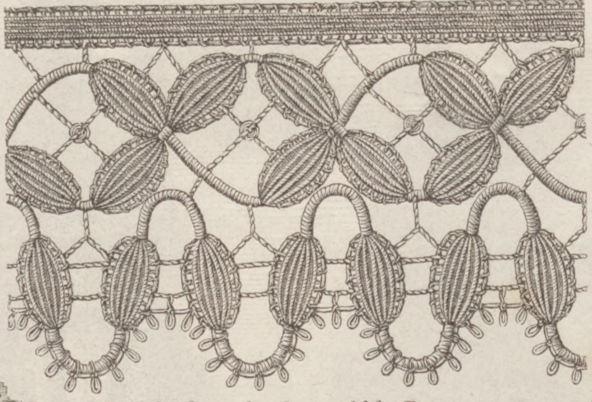
N. 6. Wzór haftu dzierganego do kieszonki. Patrz N. 5.



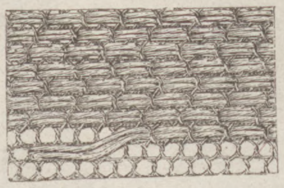
N. 5. Kieszonka do powieszenia nad łóżkiem. Haft dzier.



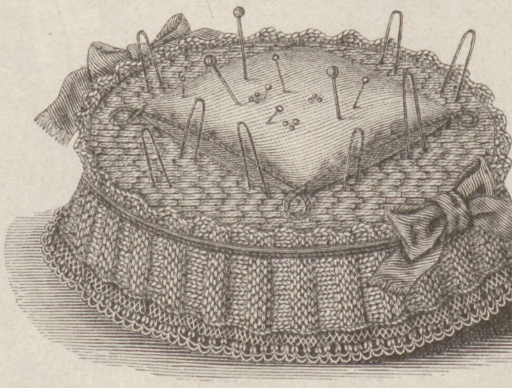
N. 7. Torebka na bieliznę nocną. Haft gipiurowy i koronka irlandzka. Patrz koronkę N. 8. Deseń w dodatku Fig. 25—26.



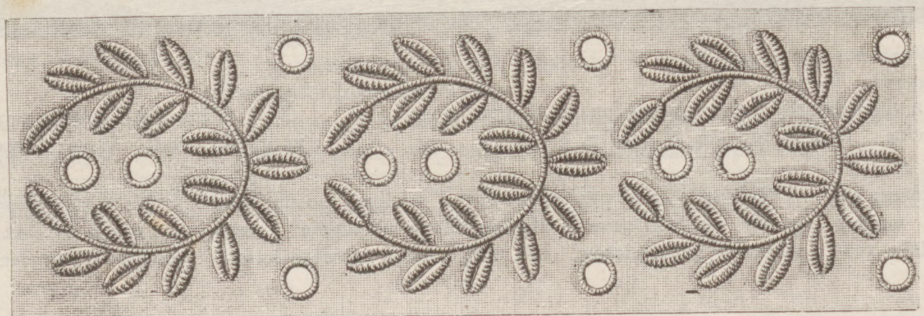
N. 8. Irlandzka koronka do torebki. Patrz ryc. 7.



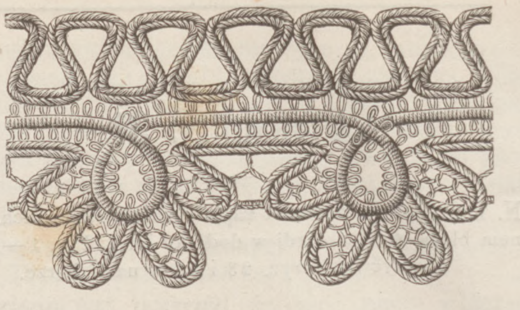
Wyszycie na tiulu do wierzchu na poduszkę do śpilek.



Poduszeczka na toaletę do śpilek.



N. 9. Wszywka haftowana ściegiem minutowym do torebki. Patrz ryc. 7.



N. 4 Koronka z mignardise sutaszu i kratki koronkowej do ryciny 32.

prostych brzegów, 10 cent. trzymające, przed przyszyciem do stanu objęte są pąsową wełnianą tasiemkę. Do rękawów 60 cent. długich a 54 szerokich dane są ćwikielki trzymające 12 cent. w kwadrat. Kołnierz podwójny prosty ma 54 cent. długości a 12 szerokości, w górze do środka podcięty do 8 centymetrow. Brzegi objęte tasiemką pąsową, a wyszycie podług Fig. 62 odrobione ściegiem łańcuszkowym włóczką i wyszyte taśmą pąsową.

N. 18—19. **Czepki** kąpielowe, któj i opis na arkuszu z formami, N. XIII, Fig. 58 i N. XIV, Fig. 59.

N. 20. **Chustka** robiona szydełkiem z frendzlą z kulek.

Materyjał: około 150 gramów włóczki nie kręconej, białej i kolorowej, 25 gramów włóczki angielskiej na frendzlę.

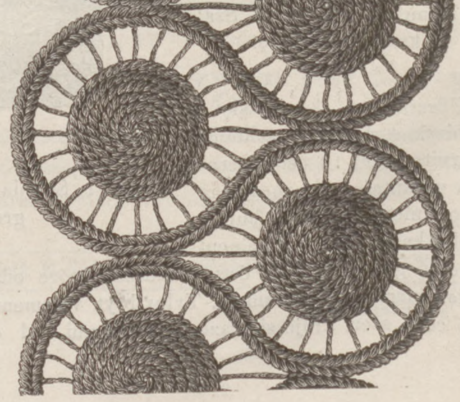
Chustka robiona w zęby, z włóczki białej i różowej trzyma 1 metr w kwadrat; robotę zaczyna się od środka i obrabia w koło przybierając, w sposób na ryc. 21 wskazany nitką podwójną. Zaczyna się od czterech w kółko złączonych oczek łańcuszka, w które przyrabia się 4-ry ząbki każden z 3 o. łańcuszka. W drugiem obrobieniu jest już 8 zębów i kwadrat formować się zaczyna. W dalszych rzędach pomnaża się stopniowo ilość zębów, które przyrabia się zawsze w środkowe oko poprzedzających, a na rogach ciągle przybiera się ząb jeden. Model odrobiony był w koło 45 razy włóczką białą, a 10 razy włóczką różową. Na frendzlę 7 cent. szeroką wiąże się 4 kulki białe a jedną różową.



N. 11. Pasek z karoczkiem.

N. 22. **Frendzla** do sukien, parasolików lub do kap. Robota zadziergiwana.

Różne sposoby zadziergiwania czyli wiązania tego rodzaju frendzłi opisaliśmy w ostatnich numerach w r. 1874 tam więc czytelniczki po objaśnienia odsyłamy. Frendzlę można robić z



N. 12. Pasmanteryja do mantyli ryc. 14.

jedwabiu albo z nici kordonkowych białych lub niewarowych.

N. 23. Frendzla z torsadą z gwiazdek z tasiemeczki i roboty szydełkowej.

Gwiazdki w torsadce układane są ręcznie z dwóch przekładanych kawałków ząbków, a w środu zapełniane kratką, poczem brzeg górny obrabia się szydełkiem w sposób na ryc. 23 wskazany, a do ząbków dolnych przyrabia się frendzlę.



N. 13. Mantyla. Przód. Krój i opis N. II, Fig. 5-A—5-B na arkuszu z formami.

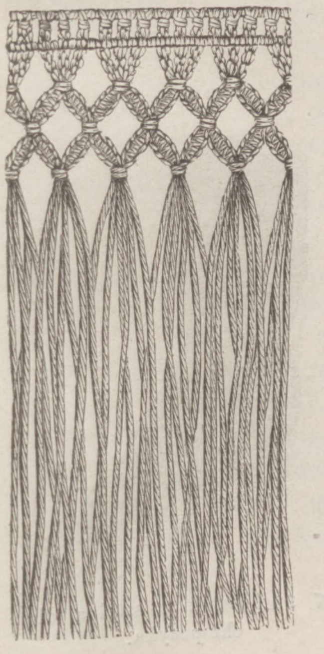
N. 24. Szlak do sukien pikowych lub z batystu écru. Haft i wyszycie sutaszem.

Szlak ten zarówno do sukien dziecinnych, jak i dla osób dorosłych służyć może. Model odrobiony był w maszynie do haftu, lecz i do roboty ręcznej łatwo da się zastosować; dziurki i listki obrzuca się ściegiem sznureczkowym a drugi raz obwodzi stębnówką, a następnie kratkę odrabia z lewej strony ściegiem krzyżowanym. Nad haftem naszyta jest ładna torsadka pikowa, a nad nią dopiero wyszycie z sutaszem.

N. 25—27. Ubranie z kaftaniczkiem wcinanym, dla dziewczynki lat 3—5. Krój kaftaniczka N. XI, Figura 46—55.

Ubranie to przedstawiają trzy ryciny, na ryc. 25 widzimy kaftaniczek wcinany, dopełniony kamizelką, na 26 sukienkę z falbowaną spódniczką i wyciętym kwadratowo stanikiem, a na ryc. 27 też sukienkę i kaftaniczek podane z tyłu. Na modelu zielonawo-niebieska wełniana sukienka i kaftaniczek, przybrane były pliskami z materyi, guzikami z konchy perłowej i szlaczkami haftowanemi na białym batyście. Staniczek gładki z przodu na guziczki zapinany, przyczepiony jest do spódniczki z boku pod kontrafałdą zapinanej, ktora ma 30 cent. długości, 300 cent. obwodu i cała jest sztywnym muślinem podszyta. Spódniczkę u góry, zacząwszy od bocznego szwa z prawej strony stanika, układa się w 14 fałd w jedną stronę idących, 4—5 cent. szerokich, z przodu zaś w dwie szerokie kontrafałdy, 4-ma do siebie schodzącemi się fałdami przedzielone Fałdy powinny być z lewej strony przeszyte a następnie zaprasowane.

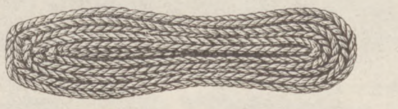
N. 28—29. Opisane przy ryc. 16 w N. 32 Tygodnika.



N. 22. Frendzla do sukien, parasolików lub do kap. Robota zadziergiwana.

N. 30. Suknia z vêtement i szarfą związaną z boku, dla niedorosłej panienki. Krój jak do ryc. 27 w N. 32 Tygodnika.

Suknia z wełnianego materyjału, perkalu, batystu albo bareżu, garnirowana jest plisowaniem, przeszytem ciemniejszemi pliskami. Przy spódnicy plisowanie ma 25—30 cent. szerokości, a przy vêtement 6—10 centymetrów. Szkocka wełniana szarfa zapięta z boku. Vêtement przykrawa się podług dodanej do ryc. 27 w N. 32 formy stanika, którą przedłuża się w sposób na zmniejszonym rysunku, Fig. 45 podany. Podwójna kontrafałda przy plecach i fałdy do podpięcia vêtement oznaczone są krzyżykami i punktami.



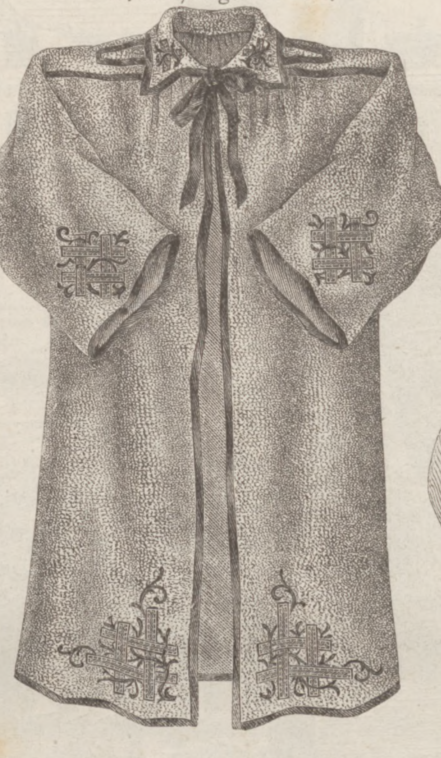
N. 16. Podeszwa do trzewika ryc. 15.



N. 15. Trzewik do kąpieli. Krój i deseń N. XV, Fig. 60—61.



N. 18. Czepek kąpielowy.



N. 17. Płaszcz do kąpieli.



N. 19. Czepek do kąpieli.



N. 14. Mantyla. Plecy patrz ryc. 13.

N. 31—35. Opisane w N. 32 Tygodnika.

N. 35—38. Modne obuwie dziecinne.

N. 35. Bucik zapinany na guziki.

Bucik z kozłowej skórki, obłożony jest lakierem, ozdobionym białą stębnówką. Klapka do zapinania z boku jest w ząbki wycięta i stębnowana.

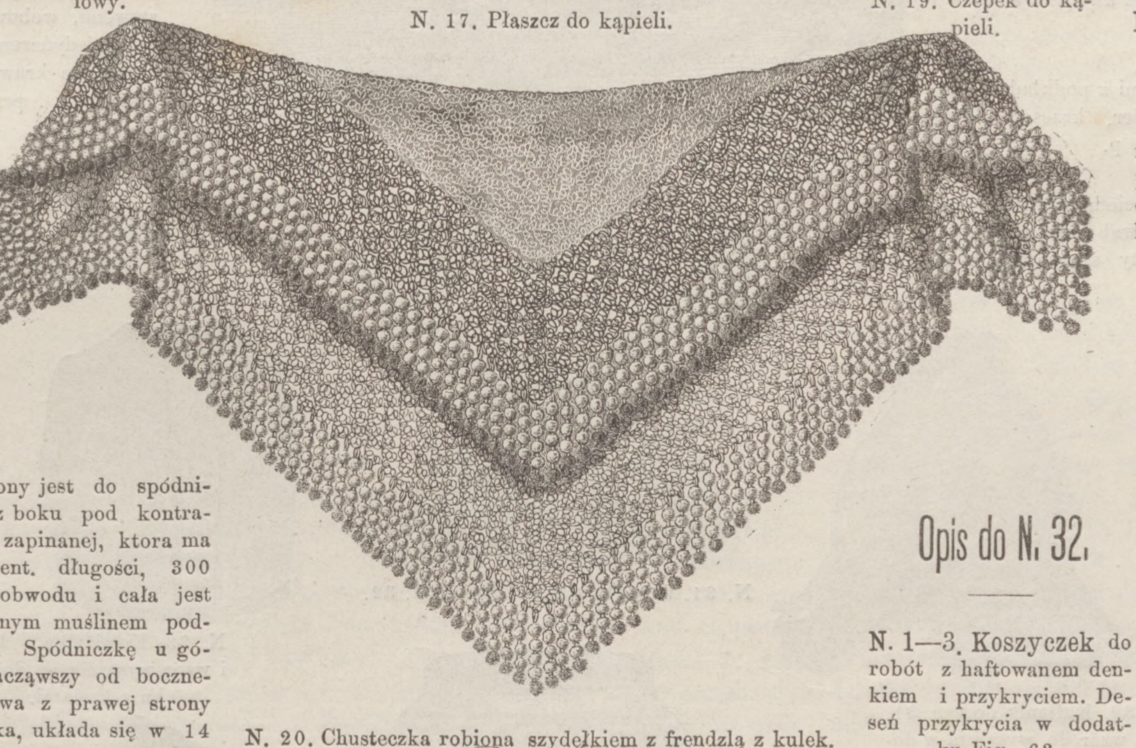
N. 36. Bucik ze sztylpą dla chłopczyka.

N. 37. Wycięty trzewik dla małej dziewczynki lub chłopczyka. Deseń haftu Fig. 27.

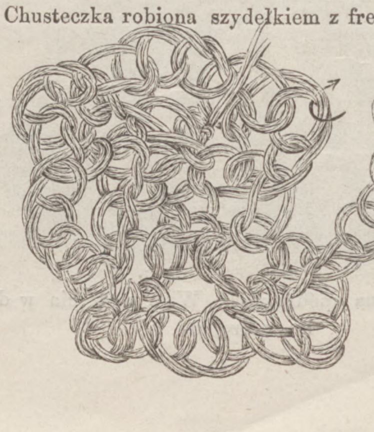
Dokończywszy szlaczek otaczający deseń środkowy, rysuje go się na skórce lakierowanej wycina tło starannie, podkłada atłas pąsowy i brzegi deseniu stębnuje białym jedwabiem. W cały trzewik daje się atłasową podszewkę, brzeg oszywa pąsową wstążeczką; z przodu w riuszę ułożoną i przyszywa się wstążki do wiązania.

N. 38. Buciki sznurowane dla dziewczynek.

Przód lakierowanego bucika ma przestębnowany desenik, przy górnym brzegu i wzdłuż dziurek do sznurowania dane kilka rzędów stębnówki.



N. 20. Chusteczka robiona szydełkiem z frendzlą z kulek.



N. 21. Środkowe rozpoczęcie roboty chustki.

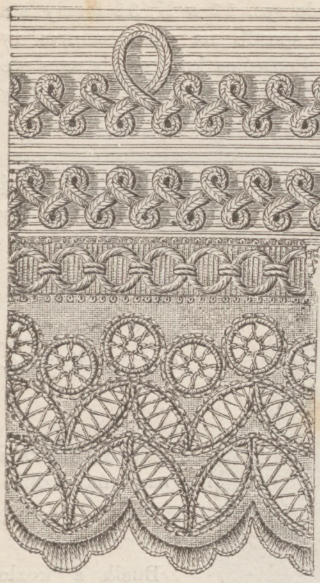
Opis do N. 32.

N. 1—3. Koszyczek do robót z haftowanem denkiem i przykryciem. Deseń przykrycia w dodatku Fig. 63.

Koszyczek z cienkiej, biało lakierowanej, trzcinki ze złoconemi nóżkami i pałączkiem, podwleczony od środka kolorową materyją, ma denko ozdobione haftem i dopełniony jest z wierzchu eleganckiem przykryciem z tiulu i roboty koronkowej. Ryc. 3 podaje wzór haftu kolorowemi jedwabiami na denko koszyczka; na tle z białego sukna wyszy-

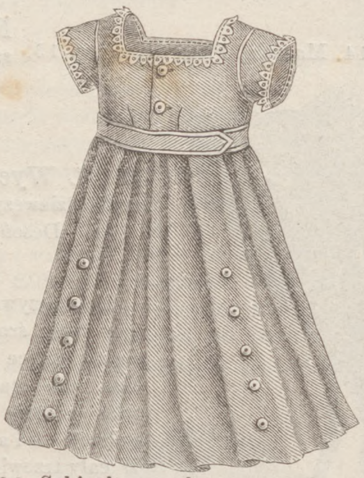


N. 23. Frendzla z torsadą z gwiazdek z tasiemeczki i roboty szydełkowej.



N. 24. Szlak do sukien pikowych lub batystowych. Wyszycie sutaszem.

ty szlaczek perłowym i różowym jedwabiem pojedyncze ściegi rzucane złotą nitką. Bukiet środkowy składa się z aplikacyi z kretonu, przyszytej odpowiedniemi jedwabiami. Przykrycie podszyte na wzorze kolorową materyją, wysiepaną brzegiem, składa się z czterech kwadratów, po 9 cent. długich, wywodzonych na tiulu i złączonych tasiemeczką koronkową. Środek każdego kwadratu zajmuje bukiecik z medalijonowej tasiemeczki, ułożony podług fig. 63, z brzegów rzucane są drobniutkie, dziergane muszki o trzech promieniach. Łączenie tiulowych kwadratów dopełnione jest za pomocą dwojakiej tasiemeczki i ściegu koronkowego i wskazane z całą dokładnością na ryc. 1, która w naturalnej wielkości podaje część kwadratów i ząbki brzeżne.



N. 26. Sukienka z wykrojonym stanikiem i fałdowaną spódniczką do ryc. 27.

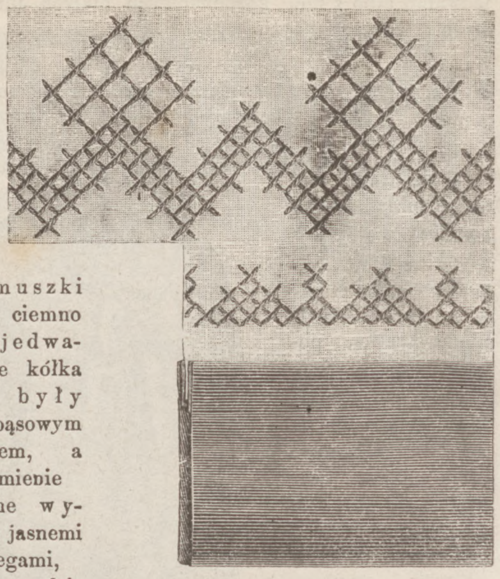
N. 4. Szlak haftowany jedwabiami z podkładaniem sukna. Do przyozdobienia portyjer, krzeseł, wałków pod głowę i t. p.

Materyjał: sukno białe, jasne i ciemno pąsowe, niebieskie, jasne i ciemne rezedowe, jedwab kordonkowy w kolorach odpowiednich do sukna; złoty sznureczek i plecioneczka.

Kolory tego szlaku można zmieniać odpowiednio do gustu i tła na jakiem ma być dany. W załączonym wzorze ząbki brzeżne były niebieskie, przy pasku jasno pąsowym, przytwierdzonym złotą plecioneczką, przeszywaną czarnym jedwabiem; wypukłe muszki haftowane ciemno pąsowym jedwabiem, duże kółka dziergane były średnim pąsowym cieniem, a promienie boczne wyszyte jasnemi ściegami, rameczki przy kołach naszyte nitką złotą ze ściegami czarnego jedwabiu. Liście ciągnione środkiem szlaku były naprzemian jasno i ciemno rezedowe z żyłkami złotemi; muszki wypukłe i żyłki poprzeczne krótkie dane rezedowym jedwabiem. Kwiatki oddzielające liście były ciemno-pąsowe z żyłkami jasno - zielonemi.



N. 25. Kaftanik wcinany z wyłożonym kołnierzem. Do ryc. 26—27. Krój w dodatku N. IX, Fig. 46—55.



N. 29. Wyszycie sutaszem do bluzy ryc. 27.



N. 30. Ubranie z tuniką i szarfą dla młodej panienki. Krój w N. 32. N. 27. Ubranie dla dziewczynki od 3—5 lat. Krój N. IX, Fig. 46—55.

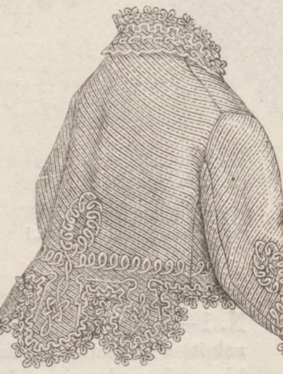


N. 28. Bluzka dla dziecka od 3—5 lat. Krój w dodatku N. 32.

N. 5—12. Rozmaite kwadraty z siatki gipiurowej.

Załączone wzory kwadratów gipiurowych różnej wielkości mogą być użyte na duże nawet serwety, jeśli weźmiemy je w połączeniu z kwadratami batystowemi, webowemi czy atłasowemi. Oddzielnie lub pojedyńczemi rzędami mogą stanowić piękne zakończenie krawatek, szlaki przy chusteczkach batystowych, przykrycie na poduszeczki toaletowe i t. p.

(dok. nast..)



N. 32. Kaftanik do ryc. 31. Krój i wzór do wyszycia w dodatku z krojami.



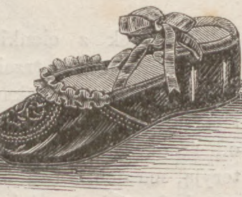
N. 31. Wycięty stanik. Opis w N. 32.



N. 33. Kamizelka. Krój i wzór wyszycia w dodatku z krojami.



N. 35. Bucik dla dziewczynki zapinany na guziki.



N. 37. Wycięty trzewik dziecinny. Wzór wyszycia w dodatku.



N. 34. Fałdowana spódniczka. Wzór wyszycia w dodatku z krojami.



N. 38. Sznurowany bucik dla dziewczynki.



N. 36. Bucik z sztylpą dla chłopczyka.